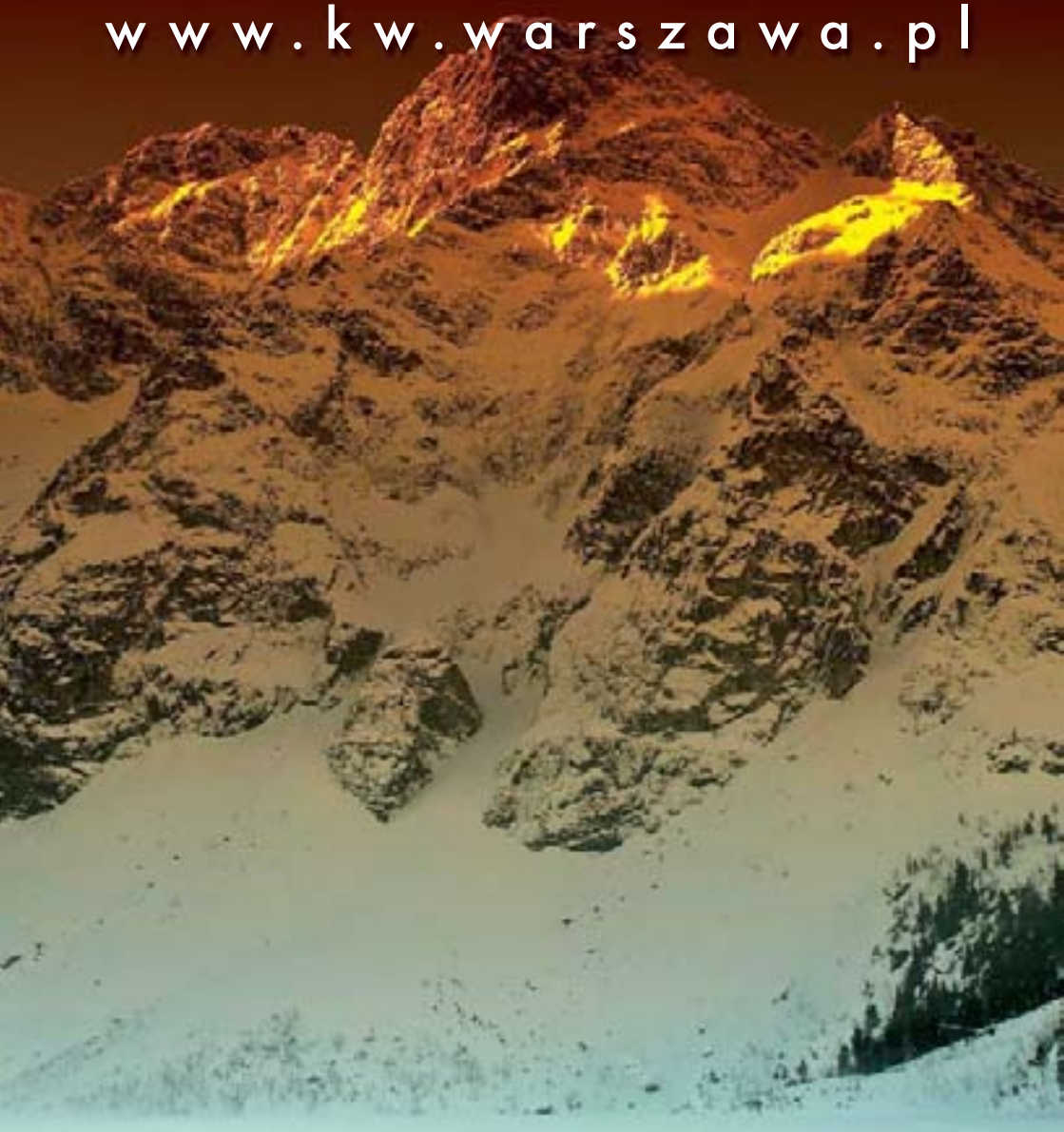


Wstęp do KW Warszawa
Zapisz się przez internet

www.kw.warszawa.pl



ISSN 1641-9359



www.kw.warszawa.pl

1(16)/2009
bezpłatny



pokaż pazur



Extre^{me}
na ekstremalne okazje!

www.lody.nestle.pl



Książka wyjść

Słowo Prezesa	2
Rozstrzygnięcie konkursu na wyprawę KW Warszawa	3
Wspomnienie o Piotrze Morawskim	6
Góry, partnerstwo, życie – rozmowa z Piotrem Morawskim	8
Ciągle mam motywację do wspinania – rozmowa z Kingą Baranowską	14
Determinacja ponad wszystko	20
Wspomnienia z Pharlapchy	26
Dwugłos o tradycji we wspinaczce:	
Przeciw tradycji	30
Przeciw anarchii	37
Na dalekiej północy	44
Wielkie doświadczenie	48
Studentem być	52
Dzięki Czan	56
Do 48 godzin	60
Podsumowanie sezonu zimowego 2008/2009	64
Zimowy obóz klubowy w Morskim Oku 2009	72
Jak nie zrobiłem...	76
Dźwięki tłuczonego szkła i cygańskie rzępolenia, czyli karnawał	78
Nowości książkowe	84
Po-słowie Po-prezesa	88
Info klubowe	90



A/Zero – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy K.W. Warszawa

Nr 1 (16)/2009

ISSN: 1641-9359

Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Joanna Cybulska, Marek Grądzki, Aleksandra Ogłozza, Artur Paszczak, Mariusz Wilanowski.

Skład: Kłara Zerdzicka.

Kontakt z Redakcją: marysia029@o2.pl, a.paszczak@noart.pl

Do powstania numeru przyczynili się: Kinga Baranowska, Robert Burak, Jan Gondowicz, Piotr Kłosowicz, Piotr Korczak, Michał Król, Przemysław Maliszewski, Wojciech Nowicki, Marcin Miotk, Mariusz Sochaj, Aleksandra Stańczak, Bartłomiej Tofel, Zbigniew Skierski, Jerzy Rostański.

W A/Zero piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek wypadek powstały podczas uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach A/Zero. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja A/Zero nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu. Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za pisemną zgodą redakcji A/Zero.

Okladka I str.: Morskie Oko nocą. Fot.: Przemysław Maliszewski.

Okladka IV str.: Fot.: Przemysław Maliszewski.

W poprzednim numerze niewłaściwie podpisaliśmy jeden z artykułów. Autorstwo tekstu o Rodellar przypisaliśmy Tadeuszowi, a nie Stanisławowi Kiniewiczowi. Kajamy się i obu Panów serdecznie przepraszamy za pomyłkę.



Dlaczego...

Tragiczna wiadomość o wypadku Piotra Morawskiego wywołała lawinę myśli. Trudno pogodzić się z faktem, że tak młodzi ludzie odchodzą. Po raz kolejny z różnych stron padało pytanie o sens wspinaczki w Górach Wysokich, o motywacje, które nami kierują, gdy wyruszamy na wyprawę. Do tej pory pytania te wydawały mi się lekko banalne, przecież góry są takie wciągające. Teraz jednak po raz pierwszy zacząłem się dłużej nad tym zastanawiać.

Dlaczego my, alpinisci, narażamy życie, zdając sobie przecież sprawę z tego, że jak niebezpiecznym zajęciem mamy do czynienia? Po prostu wierzymy, że żadne niespodzianki nas nie spotkają, a potencjalne trudności pokonamy. W człowieku tkwi takie przekonanie, że nic złego go nie spotka, że akurat jemu się uda. Nie dotyczy to tylko nas, alpinistów. Bo czy motocyklista po wypadku kolegi wystawia swój motocykl na sprzedaż?

Gottfried Benn w stwierdzeniu, że alpinizm jest oporem przeciw wyzwaniu śmierci, zawarł zarówno wiele pytań, jak i odpowiedzi. My, alpinisci, nie szukamy śmierci. Ponad wszystko kochamy życie, jesteśmy zachłanni i chcemy czerpać z niego jak najwięcej. Z drugiej strony, tragiczne wypadki się zdarzają, faktycznie ryzykujemy – świadomie bądź nieświadomie, raz mniej, raz więcej.

Dlaczego, mimo świadomości tych zagrożeń, wyruszamy na kolejną wyprawę, kolejną drogę? Wyruszamy, bo w górach czy skałkach odnajdujemy nasze wartości, jest przyroda, przygoda, ludzie. Chcemy obcować z urzekającą górską przygodą, widok direttissimi naszej drogi lub ośnieżonej górskiej grani powoduje, że nasze serca zaczynają bić szybciej.

W odpowiedzi na liczne „dlaczego” trzeba też brać pod uwagę ludzi, środowisko i nasz klub. Większość z nas czuje naturalną potrzebę dzielenia pasji z innymi, widać to choćby na obozach, slajdowniskach. Równie ważne jest wtedy nie tylko samo wspinanie, ale wspólne rozmowy, dyskusje o tym, który węzeł jest lepszy. Podobnie jest w himalajskiej bazie i na campie w Chamonix. Są tam ludzie, którzy nadają na tych samych, górskich falach, i chcemy z nimi dzielić się naszą pasją. Oni nas rozumieją.

Dlaczego pomimo wielu wypadków decydujemy się kontynuować naszą pasję? Pasja jest silniejsza niż strach przed konsekwencjami. Pasja daje nam siłę i energię, bez niej nie potrafimy odnaleźć się w codziennym życiu. Odliczamy miesiące do kolejnej wyprawy, już w poniedziałek myślimy o najbliższym wyjeździe w skałki. Inne czynności, z pracą włącznie, wydają się nam przykrym obowiązkiem. Każdy z nas ma swój zestaw odpowiedzi na pytanie zawarte w tytule. W naszym systemie wartości góry były, są i będą. Mogą się zmieniać tylko akcenty – jak często, jak bardzo, z kim, gdzie?

A Ty? Dlaczego...

Marcin Miotk

Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa?

Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, w którym znajdziesz ludzi dzielących Twoją pasję – góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów i koleżanki na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć.

W ramach naszej składki – jednej z najniższych w kraju – otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:

- renomowany biuletyn A/Zero przysyłamy Ci pocztą do domu,
- otrzymasz zniżki nawet do 30% w prawie trzydziestu firmach i sklepach współpracujących z klubem, a także w schroniskach,
- będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
- uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, a niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
- będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swój osobisty wykaz przejść,
- ...i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą.
- Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu – gdziekolwiek się udasz – uzyskasz potrzebne Ci informacje.
- Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których będziesz mógł udoskonalić lub poznać nowe dziedziny wspinaczki i jej techniki pod okiem najlepszych instruktorów.
- Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, wzmacniacz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.
- Będziesz mógł uczestniczyć bądź współorganizować pokazy slajdów i filmów w klubowej siedzibie – wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów.
- Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych „Obozowa” oraz „Nowowiejska” (wtorek od godz. 20 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).
- W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16–22, opłata 5 zł za wejście). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej – uzyskasz dostęp nielimitowany.
- Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi: „Alp Extreme”, „W Pionie”, „Planet Sports”, „Warszawska Szkoła Alpinizmu”, „Go Up”, „Pionowy Świat” – uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia.

A jeżeli będziesz tylko chciał – uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy.



Rozstrzygnięcie konkursu na wyprawę dla członków klubu

Na początku tego roku został ogłoszony przez KWW oraz firmę Salewa konkurs na wyprawę dla członków klubu. Do wygrania były nagrody o wartości 6000 zł.

Zespół, składający się wyłącznie z członków KW Warszawa, miał przedstawić opis planowanej wyprawy wspinaczkowej. Powinien on zawierać cel wyprawy, jej termin, opis i schemat drogi wspinaczkowej, planowany czas przejścia, a także listę członków wyprawy. Zgłoszenia można było składać do 15 kwietnia 2009.



Spśród zgłoszeń do konkursu na wyprawę 2009 członków KW Warszawa zarząd Klubu w głosowaniu wyłonił laureatów:

III miejsce: Sylwia Zaremba-Janukowicz – Nepal – Baruntse.

Zwycięska wyprawa odbyła się i z tarczą wróciła do kraju. Dziewczyny przywiozły świetne zdjęcia i równie ciekawe opowieści, którymi podzielią się z nami na łamach kolejnego numeru A/Zero.

Redakcja.



po prostu... wspinanie!

wspinanie.pl
serwis wspinaczkowy

© 2004 Blackwell Publishing Ltd *Journal of Internal Medicine* 255: 111–118

* dla członków klubu na cały asortyment



-15%

*za okazaniem legitymacji członkowskiej, we wszystkich sklepach sieci promopla nie dotyczy artykułów przeznaczonych.

www.cerrotorre.pl



*za okazaniem legitymacji
promocja nie dotyczy artykułów

www.cerrotorre.pl

CERRO TORRE





Wspomnienie
o Piotrze Morawskim



Wiosną spod Dhaulagiri nadeszła do nas tragiczna wiadomość – zginął nasz kolega klubowy Piotr Morawski. Trudno w to uwierzyć, bo Piotr był niewątpliwie największym polskim himalaistą młodego pokolenia, jednym z najlepszych himalaistów świata. Miał wielkie plany, wciąż się rozwijał, żył górami. Niestety, jeden pechowy krok i jedna fatalna szczelina położyły kres jego wspaniałej karierze.

A zaczęła się ona wyprawą KWW na Chan Tengri w 2001 roku. Piotrek pojechał tam jako żółtodziób i... był w jedynym zespole (razem z Marcinem Kaczkanem), który osiągnął szczyt. Szybko zorientowaliśmy się, że mamy do czynienia z ogromnym talentem popartym olbrzymią motywacją i wysokościowymi predyspozycjami. Poznał się też na nim Krzysztof Wielicki podczas zimowej wyprawy na K2 w 2003 roku, która niewątpliwie stanowiła punkt zwrotny w karierze Piotra. Dość długo przekonywałem Krzyśka do kandydatury Piotra – okazało się, że wybór był trafny, a Piotrek i Marcin stali się filarami wyprawy.

Od tamtej pory Piotrek rozpoczął realizację najtrudniejszych projektów – zimowego prze-

ścia południowej ściany Shisha Pangma (2004, droga hiszpańska, jeszcze bez szczytu), w następnym roku dokonał pierwszego zimowego wejścia na tę górę, za co uhonorowano go Jędrą – najwyższym wyróżnieniem środowiska wspinaczkowego w Polsce. Odtąd Piotr każdego roku, najczęściej w zespole z Piotrem Pustelnikiem i Peterem Hamorem, atakował najbardziej wymagające himalajskie cele: drogę Boninngtona na Annapurnie (2005), „Tryptyk Himalajski” Broad Peak – Annapurna – Cho Oyu (2006), Nangę Parbat i sławną zachodnią ścianę K2 (2007), wreszcie drogę Gabbarron na północno-zachodniej ścianie Annapurny oraz trawers Gasherbrumów (2008). „Tres Pedros” stali się w Himalajach znaną marką.

W tym roku miały paść droga japońska na Dhaulagiri i nowy projekt na zachodniej ścianie Manaslu. Niestety, tragiczna, pechowa śmierć przerwała ten wspaniały marsz Piotra przez Góry Wysokie. Pomiędzy obozami, w łatwym, śnieżnym terenie, idąc zupełnie na lekko i tylko w bieliźnie Piotrek wpadł z zarwanym mostkiem śnieżnym do głębokiej szczeliny odnosząc cięż-



kie obrażenia. Zaklinał się w niej tak, że Peter Hamor nie był w stanie do niego się dostać, nie mówiąc o wyciągnięciu. Natychmiast podążyli z pomocą koledzy z wyprawy TOPR świadomi tego, że z każdą minutą stan Piotra się pogarsza. Po dotarciu na miejsce, pomimo zakleszczenia, zdołali szybko wydobyć Piotra. Niestety, było już za późno.

Z ciężkim sercem żegnamy Piotra, wspaniałego kolegę, prawego i porządnego człowieka, od niedawna działacza społecznego – wiceprezesa PZA, i jednego z największych himalaistów świata, który tak wiele mógł jeszcze osiągnąć. Trudno pogodzić się, że odchodzą od nas tacy ludzie. Pamięć o wybitnych dokonaniach Piotra przetrwa jednak na pewno, pozostanie w pamięci następnych pokoleń alpinistów i będzie stanowiła inspirację dla tych, którzy podejmą kiedyś jego niedokończone dzieło.

Żonie Piotra, Oldze, oraz jego najbliższymi składamy wyrazy serdecznego współczucia.

Artur Paszczak

Ryszard Gajewski, kierownik wyprawy TOPR na Dhaulagiri, o wypadku Piotra:

Ósmego kwietnia 2009 zdarzył się niešťeśliwy wypadek na Dhaulagiri, któremu uległ Piotr Morawski, kierownik polsko-słowackiej wyprawy Dhaulagiri i Manaslu. Schodzący w trójkowym zespole Piotr wpadł do szczeliny lodowcowej kilkadziesiąt metrów poniżej obozu I (5760 m n.p.m.). Jego partnerzy nie byli w stanie wydobyć poszkodowanego ze szczeliny. Poinformowany o wypadku zespół wyprawy TOPR, który akurat podchodził do obozu I (Maciej Pawlikowski, Roman Mazik, Tomasz Witkowski), pośpieszył na pomoc. Nasi koledzy wyciągnęli w trudnej i technicznie skomplikowanej akcji poszkodowanego i już na powierzchni lodowca natychmiast rozpoczęli reanimację. O godz. 12.40 lekarz wyprawy TOPR Roman Mazik stwierdził zgon Piotra Morawskiego. (...)

Góry, partnerstwo, życie...

Warszawa, luty 2008 roku
Rozmawiał: Wojtek Nowicki

Dzięki, że zgodziłeś się na rozmowę!

Mam nadzieję, że pomogę! Wiesz, ja jestem strasznie gadulą, więc w razie czego przerwij mi, ok?

Nie ma mowy! Do rzeczy. Piotrek, Twoje słowa: „wyprawa dała nam lekcję wytrwałości, lojalności, wspinania, niesamowitych widoków, oraz pokazała, jak ważne jest partnerstwo” skłoniły mnie to rozważań nad górskim partnerstwem. Te słowa dotyczyły sytuacji, w której napotkaliście wspinacza, którego partner zginął, a on sam nie miał wystarczająco dużo sił, by zejść. Pomogliście mu, uratowaliście mu życie, bo to właśnie Ty go sprowadziłeś.

Jego partner zginął pod szczytem Broad Peak, a on sam nie miał siły dalej iść. Do samego końca z nim był. Ryzykował też swoim wycieńczeniem, a gdybyśmy się tam nie pojawili to i śmiercią; na pewno sam by nie zszedł.

Czy dla Was było oczywiste, że któryś z Was musi mu pomóc i sprowadzić go, rezygnując z planu?

Tak, tak... Już na przełęczy było widać, że jest w takim stanie, że ktoś go musi odholować, asekurować aż do bazy. On był tak wycieńczony, że sam mógł zrobić dwa, trzy kroki. Trzeba było go zwinąć liną i pilnować, żeby nie zrobił jakiegoś błędu, przewracał się przez cały czas.

Żaden plan na szczęście nie jest z góry założony. Wybór był prosty. Było wiadome, że mogę zrobić to co na Cho Oyu, czyli spróbować jeszcze raz wejść. Tak zresztą się stało. Ja jestem z tych, którzy lubią całą drogę do wierzchołka, nie sam wierzchołek. Bawi mnie wszystko co jest po drodze, nie tylko samo wspinanie, ale i podróż. W związku z tym tak naprawdę pojawiają się oczywiście myśli ambicjonalne jak: nie chce mi się zrezygnować, nie wejdę na wierzchołek, ale w obliczu tego co się dzieje, to jest mało ważne. Człowiek uświadamia to sobie dosyć szybko. Wiesz, tu nie było żadnych wątpliwości, że a) człowieka trzeba sprowadzić, b) kto ma to zrobić. Padło na mnie i dobrze; żartuję, że dlatego, bo byłem najmłodszy.

Czy pomoc potrzebującemu wspinaczowi wpisuje się w jakieś szersze niepisane prawa czy kodeks?

Oczywiście. Partnera w górach się nie zostawia. Oczywiście jest ten problem, że powyżej ośmiu tysięcy trudno podnieść 3 kilogramy, nie mówiąc już o 80... Jeśli ktoś tyle waży, często się uznaje, że z pewnych wysokości po prostu nie da się kogoś sprowadzić bez wielkiej akcji ra-

tunkowej. To oczywiście nie zwalnia od tego, żeby próbować, ale w wielu przypadkach, co pokazał choćby Everest w 2006 roku, zwalnia to wielu ludzi od poczucia odpowiedzialności. Przy tym ruchu jaki jest w Himalajach jest tak jak w życiu. Tam już nie trafia tylko elita wspinaczkowa, ludzie z zasadami, tylko trafia każdy. Czyli tak jak w życiu znajdziesz się taki, który sprowadzi, ale i taki, który stwierdzi, że nie ma siły i pójdzie dalej. Tak właśnie się działo na Evereście w 2006, kiedy podczas ataku szczytowego kilkadziesiąt osób przeszło obok konającego człowieka i nikt mu nie pomógł. Wszystko skończyłoby się normalnie, nic by nie wyszło na światło dzienne, gdyby nie to, że znalazł na tyle siły, żeby zejść i wszystko histrio na jaw! No, ale to Everest, to jest inna historia. To góra, gdzie jest dużo złych emocji. Ale wiesz, to jest pierwsze niepodważalne prawo, że nie zostawia się kogoś i tyle. Nie ma znaczenia czy jest Twoim partnerem czy nie.

Nie mówię o sytuacji, w której Ty jesteś wycieńczony – o tym trudno mi mówić, bo w takiej na szczęście nigdy nie byłem i mam nadzieję, że nie będę. Ty nie masz siły, żeby cokolwiek robić, na dodatek Twój partner jest wycieńczony i może pojawić się taka sytuacja, że nie masz siły go sprowadzić i musisz go zostawić. Na szczęście zawsze taką siłę miałem. Wtedy to jest jasne – sprowadzasz i tyle.

Najważniejsza jest chyba lojalność w tym wszystkim, co się robi. Czyli ta świadomość, że jak się idzie z kimś, to się idzie z kimś, a nie po to, żeby realizować tylko własne cele.

Zdarza się, że cel jest ważniejszy od lojalności?

Niestety w świecie tak często bywa, we wspinaniu też. To jest na tyle popularna dyscyplina, że świat wspinania już nie jest elitarny, są różni ludzie i różne podejścia. Często się można spotkać z historiami, że brak lojalności, że tylko ambicje, że wierzchołek...

Czy ambicja jest więc cechą charakterystyczną dla wspinaczy?

Oczywiście! Na przykład w Himalajach są dwie różne kategorie ludzi. Są wspinacze – tych jest zdecydowana mniejszość – ludzie, którzy żyją górami, dla gór i często z gór. No i są turyści wysokogórscy, dla których to jest przygoda, przygoda życia. Ci turyści rzadko kiedy odpuszczają, widzą

tylko wierzchołek i nic na okolo.

Trochę to się wszystko zmieniło od czasów, w których na Himalaje porywali się tylko śmialkowie, przestrzegający zasad, które środowisko jakoś wymuszało. Teraz są różni ludzie i różne podejścia. Często zdarzają się ludzie, którzy mają przerośniętą ambicję i robią wszystko po to, żeby osiągnąć cel.

Czy zdarza się, że partnerów dobiera się w sposób cyniczny, to znaczy nie zwracając uwagi na znajomość, dobry kontakt czy koleżeństwo, a jedynie na umiejętności techniczne i to czy pomoże mi osiągnąć mój cel?

Często tak jest. Ogólnie są dwa sposoby. Jeden to: mam cel i do niego dobieram partnerów, nie znając ich; drugi to taki, że relacje budują się z wyprawy na wyprawę i takie oczywiście są pewniejsze. Ja miałem do czynienia zarówno z jednymi, jak i drugimi. Teraz mam takie szczęście, że wspinałem się z ludźmi, których znam, którzy są sprawdzeni i tak się dzieje właściwie od mojej pierwszej wyprawy. Odkąd wszedłem w środowisko, to mniej więcej orientuję się kto jest kim, z kim mi się dobrze wspina i jakoś się to toczy.

Jakie cechy są charakterystyczne dla środowiska wspinaczy?

Na przykład kiedyś wspinali się głównie ludzie z wyższym wykształceniem, często pracujący w nauce. Nie wiem z czego to wynika, ale tak jest.



Piotr w bazie po zdobyciu Chan Tengri.
Fot.: Mariusz Wilanowski.

Wielu rzucało studia, żeby się wspinać. Ale teraz powstaje nowa kategoria ludzi, którzy tylko wspinają się, sportowcy.

Ciekawe, że np. piłka nożna skupia ludzi o nieco innym profilu...

Wiesz co, góry oprócz celów sportowych mają całą tę otoczkę – łono przyrody i tak dalej. No i żeby to czuć, jest potrzebny pewien poziom inteligencji, czy może raczej wrażliwości. Faktem jest, że aby przeżywać wyższe, nazwijmy to, wrażenia, czyli teatr, kultura czy obcowanie z przyrodą, to jednak jakieś tam wykształcenie czy uświadomienie są potrzebne. Poza tym wspinacze są środowiskiem bardzo zindywidualizowanym, indywidualistycznym w ogóle, bym powiedział. Toteż wiele nieporozumień między partnerami wynika również z ich indywidualizmu, a nie z ambicji.

A jak to jest z celami? Ważniejsze jest, żeby cel osiągać czy osiągnąć? Zdarza się przecież, o czym sam opowiadałeś, że jakiś szczyt trzeba opuścić.

Można opuścić, ale to jak ze wszystkim w życiu – jak się coś zacznie, to chce się dokończyć. Przy ośmiotysięcznikach dochodzi Korona Himalajów, pęd do niej, czyli zaliczanie wierzchołków. Ale często wraca się sentymentalnie. W tym roku będę jechał z Piotrem Pustelnikiem na Annapurnę. Jadę, żeby pojechać z Piotrem Pustelnikiem, a nie na Annapurnę, na której byłem już dwa razy i nie czuję parcia na tę górę, byłem tak dwie godziny od wierzchołka. Oczywiście został niedosyt i chciałbym być na szczycie, ale nie w najbliższym czasie. Ale jak się okazało, że Pusty tam jedzie, to stwierdziłem, że pojedę. Taki wybór między celem a możliwościami.

Wspomniałeś o kolekcjonowaniu Korony Himalajów. Po co się to robi? Żeby sobie coś udowodnić, że „dałem radę”, czy żeby znaleźć się w pewnym gronie osób?

Nie mam zielonego pojęcia (śmiech)! Pewnie są różne cele. Ewidentnie jest to jedna z najłatwiejszych ścieżek, żeby wejść na ośmiotysięczniki drogami normalnymi, wtedy odnosisz w cudzysłowie sukcesy, że ten zaliczony, tamten, tamten. Wiesz, niektórzy to lubią. Ci, którzy lubią zmagać się z przeciwnościami to wiadomo, że na Koronę nie będą wchodzić. Aczkolwiek chociażby ja jestem zawieszony gdzieś pomiędzy. Z jednej strony porywam się na jakieś trudne rzeczy, które

mają małe szanse na powodzenie, i liczę na to, że się uda. Gdybym chciał po prostu zaliczyć jakiś wierzchołek, to poszedłbym na drogę normalną. Z drugiej strony nowy cel jest na ośmiotysięczniku. Pytanie, na które sobie zresztą nie odpowiedziałem, to czy chcę wejść po prostu na jakąś górę, czy chcę się znaleźć w nowym miejscu, w którym nie byłem. Z mojego punktu widzenia chcę się znaleźć w miejscu, w którym nie byłem, ale rozumiem, że z zewnątrz to może być widziane zupełnie w drugą stronę. Pewnie sam nie zdajesz sobie do końca sprawy z mechanizmów.

Co w ogóle daje Ci wspinanie? Po co to robisz?

Po prostu to lubię. Dla mnie to nie jest tylko wspinanie na szczyt, ale cała otoczką, czyli wyprawy, podróżowanie, obcowanie z innymi ludźmi. Tak naprawdę to jest trochę inny styl życia. Na samej górze spędzasz połowę, jak nie mniej czasu całej wyprawy. Kiedyś, kiedy nie latały samolotami, tylko jeździli samochodami, to pod samą górą byli miesiąc, a trzy miesiące docierali. Są oczywiście ludzie, którzy robią szybkie wejścia po to, żeby zaliczać, i nie ma problemu, ale można też się tym dobrze bawić.

W samym wspinaniu dla mnie najfajniejsze jest znajdowanie nowej drogi. Stąd chyba taką rzeczą, do której będę starał się dążyć, będzie robienie nowych dróg albo mało chodzonych. Jakbym chciał po prostu znaleźć się na wierzchołku, to poszedłbym na drogę normalną razem z setkami ludzi. Ale chcę mieć wrażenie odkrywania, być w miejscach, w których nikogo nie było. To jest najlepsza przygoda!

Wspinanie w Górach Wysokich to wspaniała lekcja partnerstwa. Niesamowitym przeżyciem było wspinanie na K2 z Denisem Urubką. Ja byłem wtedy początkujący, Denis w połowie swojej drogi, mocno rozwinięty. Chociaż to raczej była bardziej relacja nauczyciel–uczeń, niż stosunek partner–partner. Oczywiście z zachowaniem partnerstwa, ale to ja tutaj głównie się uczyłem. Nie byłem na pewno równorzędnym partnerem dla Denisa. Aczkolwiek ani razu tego nie odczułem. To akurat przy Denisie było świetne!

Czego taki nauczyciel uczy?

Dla mnie to była pierwsza wyprawa na ośmiotysięcznik i od razu K2 zimą. W związku z tym podchodziłem mniej więcej tak: „ojoj, Jezus Maria!”. W związku z czym chłonałem wszystko, co



W bazie pod Chan Tengri. Fot.: Mariusz Wilanowski

mi mówili, jak mi mówili. Wielu rzeczy można się nauczyć. Przede wszystkim podejścia do gór, przetrwania w różnych warunkach. Nie chodzi o technikę wspinania, ale przetrwanie. Poczynając od pierdół jak suszenie butów nad palnikiem, czy dbanie o dobrą termikę, żeby się nie przegrzewać czy coś, kończąc na psychice – co można zrobić. Na przykład kilka razy był teren, w którym ja bym zawrócił, ale Denis szedł, w związku z czym i ja szedłem. No i potem się okazuje, że jednak można. Nie ze względu na to, że to było trudne, ale na warunki, które były kiepskie. Mózg naturalnie działa tak, że jak widzisz, że ktoś idzie to i ty idziesz. Na pewno dzięki Denisowi uczyniłem duży skok.

Na szczęście mam też tak, że sam oceniam rzeczywistość, nie przykładając do tego autorytetów. Może dlatego, że nie miałem w życiu takich autorytetów, że polegałem w stu procentach. Zawsze mój mózg pracował w tle. Więc może ktoś być dla mnie autorytetem, ale zawsze będę dyskutował z jego decyzjami, jeśli będę uważał, że coś jest niesłuszne. To była kwestia tego, że rozumiałem, iż to co mnie i Marcina Kaczka różniło od Denisa, oprócz siły fizycznej, to to, co się dzieje w głowie. On wie, na co stać jego ciało dużo bardziej, a ja – dużo mniej. Oczywiście to też może być niebezpieczeństwo, że się coś przevorsuje, ambicja poniesie i sobie pomyślisz „on idzie, a ja jestem totalnie wy-

kończony” to może się to zakończyć tragicznie. Zresztą wiele takich przypadków było. Ktoś nie wytrzymał tempa partnera i zginął. Taka delikatna granica. Ja Denisa traktowałem jako partnera i nauczyciela, a nie jako autorytet. Chłongłem wiele rzeczy, ale też siadaliśmy w namiocie, dyskutowaliśmy o dalszych planach i to zupełnie na zasadzie partnerskiej „zróbmy to, a może zróbmy tamto”.

Kiedy wspinacz nie wytrzymuje tempa partnera, gdzie jest wtedy ich partnerstwo?

W przypadku Gór Wysokich słuszne jest to, że droga na szczyt to jest dopiero połowa, a druga połowa to zejście, ta gorsza połowa. I to niestety głównie wynika z tego, że jeżeli nie zachowa się sił na zejście przy wejściu, to jest to tylko twoja ocena. Oczywiście partner może powiedzieć „słuchaj, moim zdaniem jesteś za słaby”, ale partnerstwo tutaj nie ma nic do rzeczy. Możesz wejść na wierzchołek we dwóch, po czym ty schodzisz totalnie wycieńczony, twój partner na luzie, no i to ty popełniasz błąd. Partnerstwo tutaj nie ma znaczenia. To twój wybór, żeby pójść na wierzchołek. Każdy musi swoją granicę sam poznać; zachować równowagę między ambicją, a zdrowym rozsądkiem. To jest największy problem. Ja to nazywam czerwonym światełkiem. Trzeba wiedzieć, w którym momencie to światło się zapala, żeby zawrócić.

Zdarza się, że ambicje przesłaniają czerwone światełko?

Zdarza się niestety i wtedy to się kończy tragicznie. Lepiej słuchać czerwonego światełka.

Czy są takie sytuacje, na które w górach jest przyzwolenie, a w warunkach normalnych nie?

Tak, na przykład przytulanie się z facetem, kiedy jesteś facetem (śmiech)! Kiedy spaliliśmy z Denisem do siebie przytuleni, on wtedy się śmiał, że nie dałem mu spać, bo całą noc się trząsałem z zimna. Ale tak naprawdę to robisz to samo na co dzień – kiedy ktoś jest słabszy, to mu pomagasz. I nieważne czy przez przytulenie czy przez niesienie bagaży po schodach, mechanizm jest ten sam. Specyfiką Gór Wysokich jest np. ogrzewanie się nawzajem, czy popularne teraz słowo – sytuacje ekstremalne, a tak naprawdę jest to przeniesienie schematów z życia codziennego. W życiu codziennym łatwiej jest takimi sytuacjami manipulować, by zostały dobrze odebrane

przez innych. Jak jesteś zmęczony totalnie to wychodzi natura. Bo nie masz siły udawać, więc jak masz ochotę coś zrobić, to po prostu to zrobisz. To jest jedyna różnica. Tak jak mówię, nie ma różnicy w psychice między wnoszeniem siatek, a pomocą na osiem i pół tysiąca.

Można więc założyć, że jeżeli ktoś sprawdził się w górach, to sprawdzi się także jako przyjaciel, osoba godna zaufania na nizinach?

W tę stronę to chyba gorzej działa. Z opowieści wszelkich wynika, że w górach ludzie są inni. Nie stają wobec takich codziennych problemów, jakie są tutaj na dole jak pieniądze, praca, rodzina. Poza tobą, górą, partnerem i innymi rzeczami związanymi z naturą to nic innego nie ma. Czyli możesz super się dogadywać, a po zejściu nie, bo są inne warunki.

Jak się przygotować psychicznie przed wyjazdem w góry? Motywujesz się w jakiś sposób, koncentrujesz?

Z praktyki wiem, że jak się jedzie z „czystą głową”, to dużo więcej można osiągnąć. Im bardziej się myśli o tym, co się ma niezalatwione na dole, tym ma się mniejszą motywację w górach. To bardzo wpływa na motywację. Dużo łatwiej się zawraca, jak masz coś niepozalatwiane. Taka rzecz gryzie od środka i traciś motywację. Koncentracja jest potrzebna przy krótkiej drodze ze wspinaniem technicznym. W Górach Wysokich jest inna sytuacja. Jesteś miesiąc czy dwa poza domem, no i włącza ci się mechanizm, że chcesz jak najszybciej wrócić i coś tam wyprostować. Gdy taka rzecz gryzie cię codziennie jak leżysz w namiocie, po pewnym czasie wymiękasz i chcesz wracać. Tutaj i tak jesteś oderwany od rzeczywistości i musisz być skoncentrowany. Jakbym teraz pojechał na kilka dni w Tatry i wspinałbym się, myśląc o jakimś problemie, to by była dekoncentracja.

Wróćmy na chwilę do Twojego cytatu, do fragmentu, w którym mówiłeś o niesamowitych widokach. To doznanie metafizyczne. Wspinasz się także dla takich chwil?

Tak, między innymi po to jeżdżę w góry; bo jest tam pięknie, bo mi się podobają, bo lubię tam przebywać, bo jest walka ze sobą. To wszystko na raz. Musi być coś, co tam pcha. U mnie jest ewidentnie ciąg do przygody. Wychowałem się na książkach podróżniczych. Nie czuję np.

ryzyka. Gdybym to traktował jako ryzyko, to bym pewnie tam nie jeździł. Ja z natury jestem strachliwy raczej (śmiech) i bardzo lubię swoje życie. Dużo więcej ryzykuję w Tatrach niż w Himalajach, gdzie tego wspinania jest dużo mniej. Tam to wolniej się dzieje. Albo czekasz w bazie na pogodę, albo jesteś w namiocie sam i nic się nie dzieje.

A ile czasu spędzasz w górach, na wyprawach?

Od trzech lat mniej więcej cztery miesiące w roku. To jedna trzecia!

Czy góry są Twoim sposobem na życie?

Jak najbardziej tak. W moim przypadku było to tak, że wyjazdy tam były uzupełnieniem normalnego życia, ale nawet nie zauważyłem, kiedy przerodziło się to w filozofię życia i jestem tymi górami całkowicie pochłonięty. Łatwo przeskoczyć przez taką granicę.

Jak to powiedział kiedyś Krowa, to jest tak, że do pewnego momentu masz życie przerywane wyprawami, na które jeździsz, ale nawet nie zauważasz, kiedy wyprawy stają się przerywane życiem. Podstawa to zachowanie równowagi. Kiedy przejdzie się taką granicę, łatwo jest się zatopić w górach, żeby uciekać od tego co jest tutaj, a po drugie żyć tylko tamtym życiem, a tutaj też przecież jest parę spraw, które trzeba załatwić.

Mówi się, że wspinanie to ryzyko. Ja bym tego nie określił jako ryzyka. Ja to powoli zaczynam rozumieć. Po tych kilku latach w Górach Wysokich mogę stwierdzić, że tak jak z każdą pasją – wpadasz w to i tak jak z uzależnieniem. Tęsknię za Kathmandu, chcę się powspinać, nie potrafię się od tego uwolnić. To się staje twoim życiem. Czasami się zastanawiasz po co, że dokładasz do tego, ale i tak cały czas jeździsz.

Podpisujesz się pod słowami Jerzego Kukuczki: „Od śmierci w dolinach zachowaj nas Panie”?

Ja na szczęście tego tak nie odbieram. To też kwestia różnicy pokoleń. Góry kiedyś były dużo bardziej niedostępne i romantyczne niż są teraz. Ja chciałbym się normalnie zestarzeć, w otoczeniu wnuków. Nie chcę, żeby góry były całym moim życiem, nie chcę tam zginąć, w żadnym wypadku.

Da się połączyć życie górskie, to w końcu cztery miesiące w roku, z życiem pozagórskim?

Na razie się staram! To kwestia chęci i woli drugiej osoby. To tak jak z marynarzem, ciężko z nim żyć, szczególnie, że ta filozofia gór przechodzi na życie codzienne. Jesteś przyzwyczajony do niezależności, do samodzielnych, szybkich decyzji. To właśnie ten indywidualizm wspinaczy. Z czasem coraz ciężiej jest żyć w trybie normalnym. Tutaj mogą powstać nieporozumienia. Na szczęście cztery miesiące to mniej niż pół roku, więc to wciąż mniejsza część życia (śmiech)!

Piotrek, te statystyczne wyliczanki brzmią jak usprawiedliwianie się!

Chyba masz rację...



Odpoczynek podczas zawodów Salomon Adventure Trophy 2003. Fot.: Klara Żerdzicka.

A co w dzisiejszym wspinaniu zostało z tego romantyzmu wspinania?

Co innego u każdego. Jedni szukają celów sportowych i spełnienia ambicji, inni czegoś innego. Ja jestem chyba bardziej z pokolenia romantyzmu górskiego. Góry są w mojej filozofii romantycznej najważniejszym czynnikiem. W głowie zostają po długich wieczorach w bazie np. opowieści o przesądach, motyl, widmo... Ja jestem człowiekiem mało przesądnym, ale kilka z nich na mnie wpłynęło, więc jakoś to działa. Oj, zagadałem się (patrzy na zegarek)! Lecę do Pezety, dokończymy później!

Dzięki, cześć!

Poleciał. Nie dokończymy.

CIĄGLE MAM MOTYWACJĘ DO WSPINANIA – rozmowa z Kingą Baranowską

Rozmawiał: **Mariusz Wilanowski**

Zdjęcia: **Kinga Baranowska**



Kinga, przede wszystkim gratulujemy zdobycia kolejnego, szóstego już ośmiotysięcznika. Wiemy z Twoich relacji na bieżąco zamieszczanych na stronie, że nie było łatwo. Chciałbym porozmawiać o Twojej ostatniej wyprawie i zapytać Cię o kilka spraw związanych z planami na przyszłość.

Muszę przyznać, że w Górach Wysokich idzie Ci dość sprawnie, a skuteczność zaiste godna podziwu. Niewiele jednak brakowało, a wszystko zakończyłoby się na etapie trekkingu.

Wyprawa na Kanczendzongę różniła się trochę od poprzednich także bardzo długim trekkingiem do bazy, podczas którego się rozchorowałaś. Czulaś wtedy, że możesz w ogóle nie mieć szansy zatakania szczytu?

W ogóle nie dopuszczałam do siebie takich myśli. Wiedziałam, że antybiotyk mnie osłabi, ale wolalam to niż potencjalną poważną chorobę w trakcie wyprawy, np. zapalenie płuc.

Co najbardziej utkwilo Ci w pamięci z ataku szczytowego lub w ogóle akcji górskiej na Kanczendzongę?

Bardzo długie odcinki między obozami i sporo seraków po drodze. Gdy następuje załamanie pogody, a ty tkwisz gdzieś wysoko, znajdujesz się w pułapce. Samo wyjście na szczyt to niekończący się kuluar z głębokim śniegiem, a potem wielogodzinne kluczenie, by wyjść na grań. Aby to zrobić bez tlenu, potrzeba kilkunastu godzin, niestety wielu wspinaczom brakuje dnia na zejście. Poważnym problemem jest też wiatr, na tej wysokości czasami wieją prądy strumieniowe i jest tam naprawdę niebezpiecznie. Z tego powodu wyszliśmy na szczyt później, dopiero o drugiej w nocy, a planowaliśmy wyjść o północy.

Czytałem gdzieś, że na Kanczendzongę czulaś obecność Wandy. Czy cały ten bagaż emocji związany z historią Wandy Rutkiewicz na tej górze bardzo na Tobie ciążył i przeszkadzał w skupieniu się na działalności górskiej? Czy po wejściu poczułaś, że mit góry, „która pożera kobiety”, prysnął?



Szczyt Kanczendzongi. Przed Kingą na wierzchołku byli Koreańczycy.

Musiałam się z takim mitem zmierzyć już wcześniej w swojej głowie, inaczej nie zdecydowałabym się pojechać na Kanczendzongę. Osoba Wandy bardzo kojarzy się z tą górą. Dla mnie ważne było, by tam na miejscu o niej pamiętać, a szczególnie 13 maja, w rocznicę jej zaginięcia. Odprawiliśmy pudzę, były tam też osoby, które ją znały i wspominały. Obiecałam sobie wcześniej, że jeśli uda mi się stanąć na wierzchołku, to cały trud zadedykuje właśnie jej. I tak się stało.

Kanczendzonga to ośmiotysięcznik z grupy wysokich – jak bardzo odczuwalna była różnica w działalności na tej górze a Twoimi wcześniejszymi, niższymi ośmiotysięcznikami?

Dla mnie różnica była ogromna. Logistyka jest inna, śpi się wyżej niż zwykle. Noc na 7700 m nie należy już do przyjemnych, zakładany jest zwykle obóz czwarty. Powyżej 8500 m idzie się zdecydowanie wolniej i trzeba bardzo starannie rozłożyć siły, by nie zabrakło ich w trakcie zejścia. Całe szczęście, że miałam bardzo dobrą odporność organizmu i mimo wcześniejszego brania antybiotyku, czułam się na tyle dobrze, by bez tlenu wejść na szczyt. Pomógł mi w tym znacznie Immunocal (proteiny), które brałam codziennie, bo właśnie takie

Kinga Baranowska w bazie pod Kanczendzongą.

dbanie o każdy szczegół procentuje w efekcie końcowym. Z tego miejsca chcę im serdecznie podziękować za opiekę nad moim zdrowiem podczas wyprawy.

Czy Twoje stosunki z Hiszpanami popsuły się po tym jak zasugerowałaś, że jeden z nich (Juanjo Garra) nie zdobył szczytu Kanczen-dzongi?

Nie tylko ja widziałam to, że Juanjo zawrócił, i nie tylko mi się to nie spodobało. Kilka osób z Hiszpanii również zauważyło tę sytuację i wyraziło swoją dezaprobatę. Być może Juanjo nie był zadowolony, że mu to powiedzieliśmy, ale uważam, iż nie należy tak postępować, a także akceptować takich zachowań.

Podczas większości swoich wypraw dołączałaś do jakiejś grupy i działałaś na górze razem (jak teraz z Hiszpanami). Czy nie uważasz, że atakowanie trudniejszych ośmiotysięczników na tzw. doczepkę może być ryzykownym

przedsięwzięciem? Może warto pomyśleć o organizacji niezależnej wyprawy od podstaw, znaleźć silnego partnera? Czy to jest problem braku odpowiednich osób w Polsce?

To, że ludzie się wspinają w teamach międzynarodowych, jest dość powszechne, szczególnie u osób, które nie mają problemów z porozumiewaniem się w innym języku i są w stanie zaakceptować odmienność kulturową oraz inną mentalność. Ważniejsze raczej jest to, jakie oni mają doświadczenie i czy nie znaleźli się w tych górach przypadkowo. Od kilku sezonów wspinam się z Hiszpanami i nie traktuję tego jako doczepki, bo jesteśmy przyjaciółmi i jest to już któryś z kolei nasz projekt. Są to ludzie świetnie przygotowani. To samo mogę powiedzieć o Dodo ze Słowacji, czy Radku z Czech – pewnie nie raz jeszcze gdzieś się wybierzemy. Poza tym trzeba to głośno powiedzieć, że już nie gramy pierwszych skrzypiec w Górach Wyso-

kich, czasy świetności Polaków w Himalajach minęły 20 lat temu. Mam wrażenie, że w Polsce pokutuje wciąż stereotyp wypraw Zawady. Prawda jest jednak taka, że teraz trudno zorganizować (nie jak w przypadku Hiszpanów, Włochów czy też Rosjan) dużą wyprawę z Polski. A jeśli już takowe są, to – nie ukrywajmy – nie zawsze jest na nich sielankowo. Poziom ich organizacji też budzi wiele zastrzeżeń. Robi się coś po tanioci, zawsze kosztem naszego bezpieczeństwa. Zespół to często zbieranina różnych ludzi, z różnymi aspiracjami, nie mamy przecież zbyt wielu czynnych himalaistów, którzy regularnie jeżdżą w góry. Często wstają do biurka i jadą, a w polowie wyprawy mówią, że muszą wracać, bo kończy im się urlop. Kanczendzonga zajęła mi dwa miesiące i gdybym miała jeszcze odczuwać tego typu presję, nie byłabym w stanie opracować żadnej logistyki i skoncentrować się na wspinaczce. Dobranie sobie partnera, który byłby na podobnym do ciebie poziomie, miał podobny plan na góry i z którym świetnie się w dodatku czujesz, nie jest takie proste. Wracając do organizacji własnej wyprawy. Dla mnie „duża” oznacza przynajmniej siedem osób, bo wtedy spadają koszty pozwolenia. Powszechną praktyką w górach najwyższych jest to, że ludzie łączą się w bazy w większe grupy, by mniej płacić, a wspinają już w małych dwu- lub trzyosobowych zespołach. Organizacja wyprawy od podstaw to dużo większe pieniądze. W czasach ogólnego kryzysu, mówiąc brutalnie, ciężko czasem zorganizować pieniądze dla jednej osoby, a co dopiero dla kilku. Poza tym nie każdy potrafi to robić, ludzie się poddają po paru niepowodzeniach, kiedy ktoś po raz kolejny zatrzaskuje ci drzwi przed nosem. Nieczęsto mogłam liczyć na pomoc w tej kwestii. Jeśli miałabym to robić na większą skalę, to może gdybym organizowała jedną wyprawę na kilka lat, dałoby się to tak dopieszczać.

W zeszłym roku zaprzeczałaś jakoby Korona Himalajów była Twoim celem, obecnie nie



Autoportret na szczycie.

ukrywasz, że pojawił się on w Twoich planach. Co wpłynęło na zmianę podejścia w tym temacie? Kolejne szczyty w kapowniku, chęć wykorzystania dobrego czasu, poczułaś się silna...?

Nadal uważam, że jest to megatrudne przedsięwzięcie, wymagające wielu wyrzeczeń. Nie umiem odpowiedzieć, czy wystarczy mi motywacji do ciągłej walki o fundusze na wyprawę. Dobrze wiesz, że to wszystko nie spada samo z nieba, tylko muszę się nachodzić po firmach, być swoim agentem i PR-owcem, bo takie są prawa rynku. Ciągłe mam natomiast motywację do wspinania i na szczęście mechanizm, który mnie jeszcze nie zawodzi, czyli umiejętność absolutnego wyłączenia się i skoncentrowania na celu. Jadę tam po to, by zrobić wszystko co w mojej mocy i stanąć na wierzchołku, jeśli góra na to oczywiście pozwoli.

Swoje dotychczasowe ośmiotysięczniki atakowałaś i zdobywałaś bez użycia tlenu. Widzisz się na K2 i Evereście bez tlenu?

Myszę, że na K2 będę wchodzić bez tlenu, co do Everestu – jeszcze nie wiem. Trzeba być w bardzo dobrej formie, by zdążyć zejść bezpiecznie do obozu niżej. Jak wiadomo, tlen znacznie to tempo przyspiesza.

☞ Pudża w bazie na tle słynnego Jannu.



Co myślisz o kobiecym wyścigu do Korony Himalajów, którego jesteśmy świadkami? Czy myślisz, że Edurne po drugiej takiej sytuacji w Górach Wysokich, kiedy jej życie leżało w rękach wspomagającego zespołu, zmieni coś jeśli chodzi o jej zdobywanie korony? Czy z psychologicznego punktu widzenia ta sytuacja da jej tzw. kopa, jak to miało miejsce po K2?

Na pewno nie odpuści, będzie jeszcze bardziej się asekurowała i będzie bardziej ostrożna, ale wejdzie na oba pozostałe szczyty. Hiszpanie uruchomili „machine”, dającą jej poczucie względnego bezpieczeństwa. Telewizja hiszpańska i duży koncern telekomunikacyjny wspierają zawsze cały team wyprawy. Edurne ma zapewnioną specjalistyczną opiekę medyczną we własnym kraju na wypadek, gdyby jej potrzebowała (słynna klinika w Saragossie, gdzie leczy się odmrożenia). Ma osobistego trenera, który przygotowuje ją po kilka godzin dziennie. Jest objęta specjalnym programem dla sportowców. Ma też dostateczne zaplecze finansowe, by w razie czego wyszli po nią Szwajcarzy z tlenem, może też wezwać helikopter, gdyby pojawiły się objawy obrzęku mózgu (tak było w przypadku Kanczendzongi).

Wyścig jest wtedy, kiedy zaprzęgniemy się do tego w naszych głowach. Poddamy się temu psychicznie i pocujemy presję, że coś musimy. Takie wyścigi mogą się skończyć tragicznie. Koreanka, która wchodziła na tlenie tego samego dnia co ja na Kanczendzongę, zginęła niedawno na Nanga Parbat. Postanowiła zostać pierwszą kobietą na świecie z Koroną Himalajów, wspinając się na szczyty z tlenem i przenosząc się z bazy do bazy helikopterem. Tempo okazało się dla niej zabójcze.

Nie wiem co jest w głowach Edurne, Gerlinde oraz Nives, mam tylko nadzieję, że wszystkie trzy bezpiecznie ukończą ten kilku czy też kilkunastoletni projekt, jaki sobie zaplanowały.

Miałaś być teraz na wyprawie na Gasherbrum I i II. Co się stało, że nie jesteś z olaszynianami na wyprawie?

Tak. Coś już drugi rok z rzędu nie pozwala mi jechać do Pakistanu. Widocznie tak ma być i trzeba to zaakceptować. Poza tym i tak miałabym duży problem ze sfinansowaniem tych Gasherbrumów, więc może dobrze, że tak się stało.

Najbliższe plany to...?

Jeśli nie lato, to może jesień. Jestem w trakcie rozwiązywania tego tematu. Myślę o Shisha Pangma w Tybecie. Jak będę już coś wiedziała na pewno, dam znać.

Dziękuję Ci za rozmowę i życzę w górach tyłu powrotów, co wyjść.

W drodze do obozu I.



Determinacja ponad wszystko

Tekst: **Marcin Miotk** (www.miotk.pl)

Zdjęcia: **Marcin Miotk i Grzegorz Mróz** (www.goup.pl)

NANDA DEVI EAST EXPEDITION 2009

Jeśli sądzić po determinacji, z jaką Adam Karpiński dążył do zorganizowania pierwszej polskiej wyprawy w Himalaje, nie ulegało wątpliwości, że zarówno wyprawa dojdzie do skutku, jak i szczyt zostanie zdobyty. Wydaje się to dzisiaj nieprawdopodobne, ale już w 1924 roku Karpiński przedstawił kompleksowy projekt wyprawy na Everest, zawierający jej skład oraz potencjalne źródło finansowania. Swoimi pomysłami wyprzedził w Polsce dwa pokolenia. Zapewne z powodów prestiżowych pozwolenia od Brytyjczyków nie uzyskał, ale Himalaje nadal spędzały mu sen z powiek. Próbował dalej. Wreszcie pod koniec lutego 1939 roku otrzymał pozwolenie na zorganizowanie wyprawy w Himalaje Garhwalu. Wybór celu należał do Polaków. Karpiński celował wysoko i wybrał dziewiczą Nanda Devi East (7434 m), sąsiadującą z głównym wierzchołkiem Nanda Devi zdobytym przez Brytyjczyków w 1936 roku, który aż do pokonania Annapurny w roku 1950 był najwyższym szczytem osiągniętym przez człowieka.

Szybko skompletowano mocny skład: Adama Karpińskiego (kierownik), Stefana Bernadzikiewicza, Jakuba Bujaka i Janusza Klarnera. Czasu na wszystko było mało, bo uczestnicy chcieli zdążyć przed czerwcowym monsunem. Realia były wtedy jednak zupełnie inne niż dzisiaj – długi rejs do Bombaju, wielogodzinna podróż koleją indyjską oraz kilkunastodniowy trekking do bazy wymagały wielkiej siły i determinacji. Dzięki nim 2 lipca 1939 roku Bujak i Klarnet stanęli na szczycie Nanda Devi East. Tak powstała najtrudniejsza droga w Himalajach przed drugą wojną światową. Rozpoczęła się historia polskiego himalaizmu.

Oficer ci pomoże

W skład naszej wyprawy weszli: Jan Lenczowski (pomysłodawca i kierownik), Daniel Cieszyński, Marcin Miotk, Grzegorz Mróz, Narcyz Sadłoń (lekarz), Grzegorz Sosiński,

Paweł Szlachta, Tomasz Walkiewicz (media) oraz Jarosław Woćko. Uzupełniali ją operator telewizyjny Rafał Szendzielarz oraz hinduski oficer łącznikowy Ganji. Organizacja wyprawy w Himalaje Indyjskie różni się znacznie od tych w Himalaje Nepalu lub nawet Karakorum. Wniosek o pozwolenie trzeba złożyć do IMF (Indian Mountaineering Federation), najlepiej z dwuletnim wyprzedzeniem, a sam dokument należy także opłacić. Zarówno przy rozpoczęciu, jak i zakończeniu wyprawy należy przejść szczegółową odprawę w biurze IMF. Instytucja oficera łącznikowego, znana również z Nepalu i Pakistanu, w Indiach odgrywa rolę szczególną – oficer bardzo angażuje się w sprawę wyprawy. Wynika to nie tylko z tradycji, ale przede wszystkim z poważnego traktowania przez władze Indii działalności górskiej w obszarze Parku Narodowego Nanda Devi. Nie bez znaczenia jest również fakt, że to rejon przygraniczny wielkiego sąsiada – Chin. Oficer pomaga nam wynająć tragarzy. Co ciekawe, każdy z nich może wziąć tylko tyle kilogramów, na ile pozwala specjalne rozporządzenie IMF. Nasi biorą po 25 kg. Stosujemy się do miejscowego zwyczaju i podpisujemy dwujęzyczną umowę z szefem tragarzy – nasz oficer, prawnik z wykształcenia, podchodzi do tematu bardzo poważnie. Z powodów urlopowych Grzesiek Mróz (vel Gelo) oraz ja dołączyliśmy do wyprawy po dwóch tygodniach. Trzydniowy trekking do bazy był dla nas dość ciężki, pędziliśmy, aby choć trochę nadrobić stracony czas.

W kierunku przełęczy

Bazę główną (4200 m) zakładamy prawie dokładnie w miejscu tej z historycznej wyprawy z 1939 roku. Ma ono wiele zalet: jest bezpieczne, prawie na zielonej trawce, a co najważniejsze – zapewnia znakomity widok na górę. Kolejnym etapem jest baza wysunięta (ABC – Advanced Base Camp), położona na wysokości 5000 m. Dalej kierujemy się na

☞ Marcin na grani Nanda Devi (zdjęcie w lustrzanym odbiciu).



Tragarze podczas posiłku – dobry chwyt to podstawa.

przełęcz Longstaffa (5900 m), która otwiera drogę na szczyt.

Budzik dzwoni bezlitośnie o godzinie drugiej w nocy. Chcemy wyjść jak najwcześniej i uniknąć niszczącego słońca, które już od 5.30 operuje bezlitośnie na stokach prowa-

dzących na przełęcz. Leniwie zaczynamy gotować – ja swoje muesli i płatki, Jarek i Daniel stawiają na podwójną „chińską”. Makaron z rana jak śmietana? :) O trzeciej wychodzimy. Jest wyjątkowo ciemno, bo mamy nów. Resztki transzei z poprzednich wyjść wskazują kierunek. Słońce dopada nas przy skałce. Z depozytu zabieramy 200 m poręczówki, jedzenie, gaz. Droga na Longstaff wygląda teraz jak teren przygotowań olimpijskich bobsleistów – cały stok to zbiór rynien i rynienek pozostałych po obsuwającym się z przełęcz śniegu. Pojawia się nawet strumyk wody, a z czasem wręcz rzeka, która nie zamarza nawet w nocy przy kilkunastostopniowym mrozie! W górnych partiach natomiast coraz więcej lodu – chodzenie z dwoma dziabkami staje się obowiązkowe. Na przełęcz docieramy w dobrej formie. Janek wita nas herbatą. Do końca dnia próbujemy odpocząć przed kolejnym wyjściem. Słońce jednak nie daje nam wytchnienia. Temperatura zmierzona w namiocie dochodzi do 48 stopni Celsjusza. Dodatkowa ochrona ze śpiworów na niewiele



Ach, jak tu pięknie!

się zdaje. Zawsze powtarzam wszystkim, że jestem ciepłolubny, a na wyprawę jadę się wygrzać :). Na poważnie – jak dodamy do tego gorąca nocne mrozy w okolicach dwudziestu stopni, to widać, z jakimi dziennymi amplitudami temperatury mieliśmy do czynienia. W końcu południowa mgła przynosi ochłodzenie, można zabrać się za gotowanie i klawowanie sprzętu na następny dzień.

Na grani

To ma być kluczowe wyjście – rodzaj przedłużonego ataku szczytowego. Plan jest następujący: wychodzimy w trójkę z Danielem i Jarkiem, poręczujemy w kierunku kopuły szczytowej na 6500 m, gdzie zakładamy obóz, ruszamy na atak szczytowy, zakładając liny do Wielkiego Uskoku, nocujemy w namiocie szturmowym na 7000 m, wchodzimy na szczyt i schodzimy bezpośrednio na 6500 m. Plan ambitny, ale realny, zakładając stabilną pogodę i brak większych niespodzianek. Życie pokaże...

Po pierwszym wyjściu z Gelem już na grani czuję się jak w domu. Kilometrowe urwiska po obu stronach nie robią już takiego wrażenia. Powoli nabieramy tempa – wejście na pierwszą turnię jest najbardziej pionowe i zalodzone. Kolejne dwie pokonujemy niemal siłą rozpędu. Czujności za to wymaga Śnieżna Kopa. Niespotykana gdzie indziej kruszyzna grozi w każdej chwili kamienną lawiną. Poręczowanie idzie sprawnie, mamy tylko nadzieję, że już niedługo grań się skończy i będziemy mogli założyć kolejny obóz. Nic z tego. Około godziny 16 decydujemy się na poszukiwanie platformy na namiot, co na stromej grani Nanda Devi East jest zajęciem równie trudnym, jak znalezienie wolnej drogi w majowy weekend w Rzędkowicach. Aby zwiększyć nasze szanse, szybko dzielimy się zadaniami – Jarek, wykorzystując stare poręcze, wyrusza na poszukiwanie do góry, a my z Danielem zaczynamy mozolnie rąbać platformę w lodzie w miejscu, w którym stoimy – po prostu szkoda czasu na poszukiwanie czegoś lepszego. Po godzinnej pracy podziwiamy nasze dzieło. Namiot ledwo



Lekarz zawsze pomoże.

się mieści, jego część ewidentnie znajduje się na nawisie. Robimy porządne auto do poręczy i bliskiej ścianki. Mimo to spędzamy noc jakoś nieswojo, czując Dolinę Lawan pod karimatą. Wspinaczka sprawiała mi tego dnia dużo radości, bo tak naprawdę o to w alpinizmie chodzi – mamy namiot, liny, jedzenie. Nie ma powrotu do poprzedniego obozu. Jest tylko jeden kierunek – do góry.

Kierunek szczyt

Kolejnego dnia ruszamy dalej. Sytuacja nie jest zbyt wesola, bo lin poręczowych nie zostało nam dużo. Kończą się skały, a zamiast ze spodziewanymi łatwymi polami śnieżnymi mamy do czynienia ze stromą śnieżną granią z nawisami. Niby teren do przejścia, ale nie ma ani czasu, ani sprzętu na poręczowanie czy chodzenie z lotną. Nadszedł czas szybkich i dramatycznych decyzji. Każdy z nas musi zdecydować, co dalej. Głosuję za tym, by schodzić – bazuję raczej na ilości sprzętu, który posiadamy i intuicji, bo żaden z nas nie wie, czego możemy spodziewać się dalej. Daniel się waha, Jarek jest za kontynuowaniem wspinaczki. W końcu decydujemy, że Jarek z Danielem idą dalej, a ja schodzę po dodatkowe liny i wynoszę je do końca poręczówek.

Do chłopaków próbuje jeszcze dojść Janek, ale stromizna grani powoduje, że zawraca. Żal mi włożonej pracy, zostaje mi tylko kibicować chłopakom.

Podczas wieczornej łączności okazało się, że mimo początkowych trudności grać w dalszej części lekko się wypłaszcza i po godzinie kolegom udało się założyć obóz na 6500 m. Kolejnego dnia Daniel z Jarkiem zeszli po depozyt zostawiony przeze mnie i Jasia na końcu lin poręczowych, aby dzień później zaporęczować odcinek do wysokości 6900m. Martwi nas tylko pogoda – tylko z rana przez kilka godzin jest słonecznie, ale już po południu pojawiają się mgły i opady. Nadchodzi 26 maja – dzień zapowiadanego ataku szczytowego. Wszystko układa się po naszej myśli – drogę mamy częściowo zaporęczowaną, zdrowie chłopakom dopisuje. Od rana w bazie krzątania, każdy z napięciem czeka na

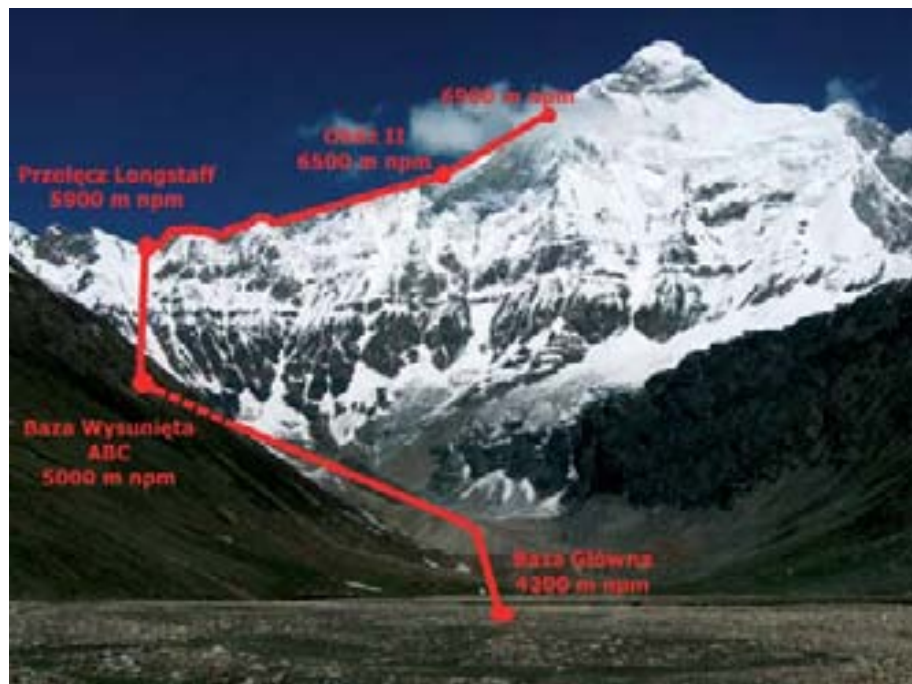
pierwsze relacje. Około godziny 9 zgłasza się Jarek. Niestety, w partiach szczytowych mocno wieje, robi się mglisto. Dodatkowo skarży się na gorsze samopoczucie i ogólne osłabienie. Jest tylko jedno wyjście – szybkie zejście do bazy – nie można ryzykować zdrowia. Już wiemy, że to koniec ataku szczytowego, a tym samym wyprawy. Mimo tego, nikt nie czuje się zawiedziony. Jest może niedosyt, bo doszliśmy wysoko i byliśmy o krok od zdobycia szczytu. Każdy po wielotygodniowym wysiłku chciałby wnieść ręce w geście triumfu. Z drugiej strony jednak, wszyscy szczęśliwie zeszli do bazy, nikomu nic poważnego się nie stało, więc w mojej opinii wyprawa była udana. Szczyt poczeka.

Do następnego razu

Wyprawa odniosła również kilka sukcesów pozasportowych. Dzięki dobrej oprawie

medialnej udało się przypomnieć krajowej i międzynarodowej publiczności pierwszą polską wyprawę w Himalaje, której uczestnicy, zdobywając w 1939 roku szczyt Nanda Devi East, poprowadzili najtrudniejszą drogę wspinaczkową w Himalajach przed drugą wojną światową. Niezdobycie przez wyprawę szczytu tylko potwierdza trudności i wyzwania, jakie napotkali polscy alpinści 70 lat temu. Obiektywnie należy podkreślić, że fragmenty grani w ciągu tych lat zmieniły się nie do poznania – widoczne na materiałach filmowych z 1939 roku jej długie i śnieżne odcinki są teraz niemal zupełnie odsłonięte i straszą kruszyną. Ale żeby nie twierdzić, że kiedyś mieli łatwiej, można sobie tylko wyobrazić, jak skąpym i prymitywnym sprzętem wysokogórskim dysponowali Polacy w tamtym czasie. Dla upamiętnienia pierwszego wejścia na Nanda Devi East uczestnicy wyprawy odsłanili w okolicach bazy tablicę pamiątkową z inskrypcją: „Nanda Devi East, 2.7.1939, first ascent: A. Karpiński, J. Bujak, S. Bernadzikiewicz, J. Klarner. Poland”.

Planowana już jest kolejna wyprawa na Nanda Devi East. Doświadczenia tegorocznej z pewnością zaprocentują.



Schemat drogi pokrywającej się z trasą pierwszych zdobywców.



Gelo napiera.



Wspomnienia z Pharilapchy

Tekst: **Michał Król**

Jesteśmy na wysokości około 5400 m n.p.m. Coraz bardziej zimno oraz zmęczenie dają się nam we znaki. Spadają na nas bryły lodu, mam lekko odmrożone palce u nóg. Ale cel jest jeden...

Pharilapcha to mierząca 6017 m n.p.m. góra o tysiącmetrowej ścianie, która znajduje się w Nepalu w rejonie Doliny Khumbu. Do tej pory na północnej ścianie wytyczono tylko jedną drogę, w jej prawej części. Nasz zespół w składzie: Andrzej Sokołowski, Przemek Wójcik i niżej podpisany postanowił wspiąć się nową drogą, centralnym kuluarem, prosto na szczyt. Zajęło nam to trzy i pół dnia. Bez poręczowania i zakładania wcześniejszych obozów, jednym ciągiem czyli w stylu alpejskim.

Jest godzina 23, stoimy z Przemkiem na stanowisku gdzieś na wysokości 5500 m n.p.m. W ciemnościach słychać, jak nad naszymi głowami Andrzej walczy z każdym metrem nowej drogi. Co jakiś czas jesteśmy bombardowani bryłami lodu. Te, przed którymi nie sposób się schować, zadają bolesne ciosy. Mróz jest coraz bardziej dokuczliwy. Mimo to powoli poruszamy się w górę. Kuluar, którym się wspinamy, to typowy mikst – cienki lód, krucha skała i słaba asekuracja. Przed rozpoczęciem wspinaczki postanowiliśmy zabrać tylko linę połówkową. Minimalna ilość sprzętu ułatwiała nam sprawne poruszanie. Było to jednak bardzo ryzykowne posunięcie – w razie ucięcia jednej z lin zostałyby nam tylko jedna na trzech...

Przemek na początku lodowego progu (WI 5) w środkowej części kuluaru. Fot.: A. Sokołowski.

Północno-wschodnia ściana Pharilapchy 6017 m n.p.m.

Jesteśmy zmęczeni i marzymy o dużej półce, na której wygodnie się wyśpimy. Jak się później okazuje, każdy z nas musi zadowolić się siedzącym i niewygodnym miejscem biwakowym. Rankiem następnego dnia wychodzimy ze śpiworów, wstawiamy śnieg na herbatę. Na szczęście zapowiada się piękna pogoda. Zza chmur wylania się Mount Everest. Nie możemy doczekać się kolejnego dnia wspinaczki. Mimo naszego entuzjazmu, wspinamy się wolno, z rzadka zakładając bezpieczną asekurację. Sycki śnieg nie pozwala na płynne poruszanie się w stromym terenie. Szukanie chwytów i stopni pod śniegiem zajmuje czasem nawet 40 minut. Co jakiś czas zmieniamy się na prowadzeniu. Kolejne metry kierują nas pod pionową ścianę. Andrzej, który w tym

dniu jest najsilniejszym ogniwem zespołu, decyduje się na wspinaczkę lekko zalodzoną płytą. Na końcu wyciągu musimy pokonać jeszcze kruchy kuluar. Nieco znużeni pionową ścianką dochodzimy na półkę, na której czeka Andrzej. Robi się późno, o wierzchołku nie ma co marzyć. Musimy biwakować 100 metrów pod szczytem. Nieco sfrustrowani idziemy spać. Jednak nazajutrz pierwsze promienie słońca dodają nam nadziei, że w tym dniu bezpiecznie osiągniemy szczyt Pharilapchy. Kilka godzin później jesteśmy na wierzchołku. Za nami w pełnym słońcu lśni Everest, który swoimi rozmiarami przytłacza pozostałe szczyty. Jest 11 listopada – Dzień Niepodległości.

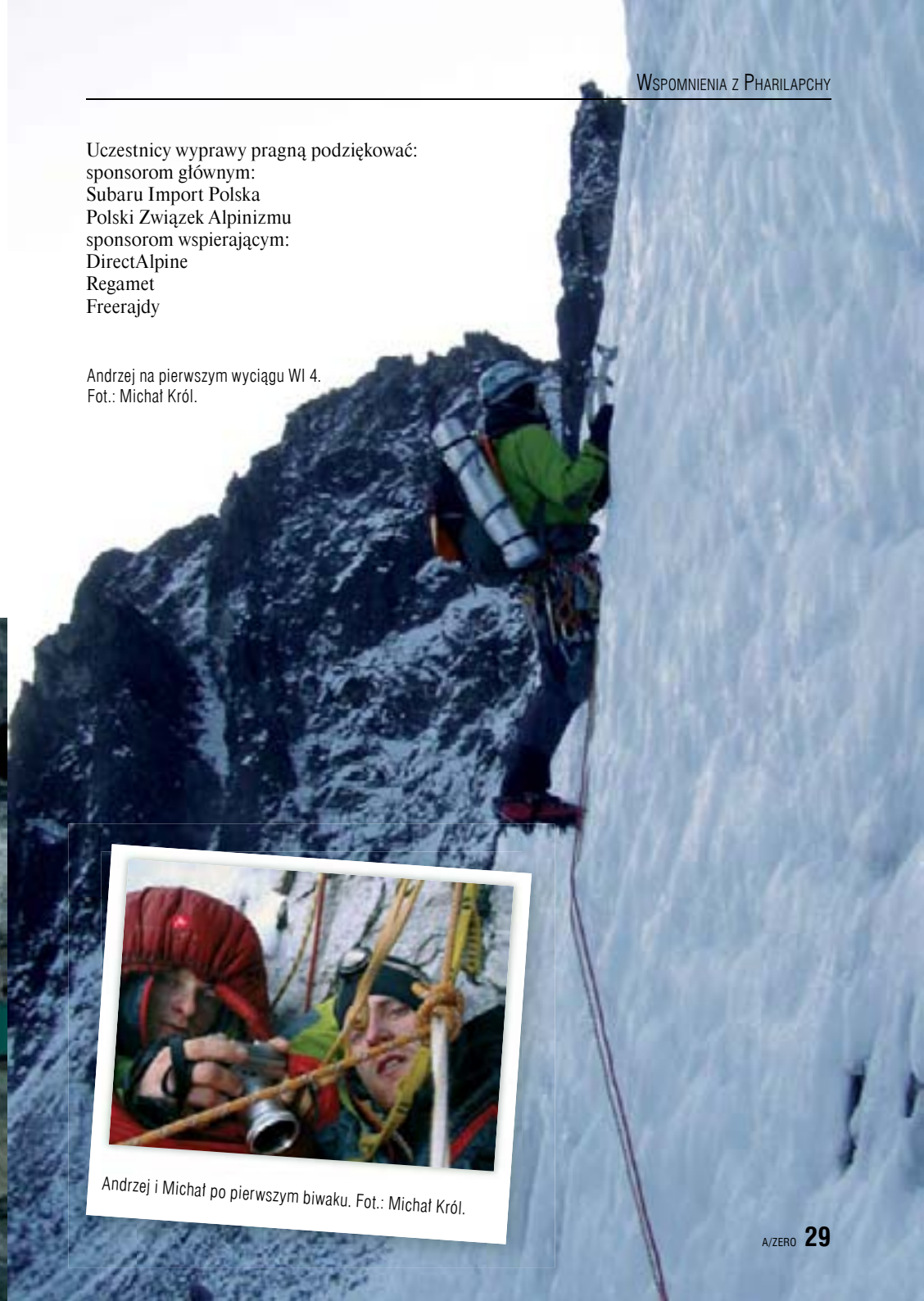
8–11.11.2008 *Dzień Niepodległości* M7, W15+, 1300 m.

Przemek i Michał w górnej części środkowego filara ok. 5750 m. Fot.: A. Sokółowski.



Uczestnicy wyprawy pragną podziękować:
sponsorom głównym:
Subaru Import Polska
Polski Związek Alpinizmu
sponsorom wspierającym:
DirectAlpine
Regamet
Freerajdy

Andrzej na pierwszym wyciągu W1 4.
Fot.: Michał Król.



Andrzej i Michał po pierwszym biwaku. Fot.: Michał Król.

PRZECIW TRADYCJI

Tekst: **Piotr „Szalony” Korczak**



W każdej dziedzinie ludzkiej aktywności funkcjonują pojęcia, które są ich ikonami, stanowią punkty archimedesowe, do których należy się odwołać. W alpinizmie, pojmowanym jako zespół dyscyplin, takim pojęciem jest bez wątpienia droga. Każda dyskusja – teoretyczna, czy po prostu towarzyska, w naszym wspinaczkowym gronie koncentruje się zawsze wokół tego kto, co i gdzie zajął (w domyśle – jakie drogi?). Wreszcie, wykaz przejść – biografia wspinaczkowa, zredukowana często do fetyszu „zeszycika”, bywa najcenniejszym skarbem każdego z nas (z wyjątkiem piszącego te słowa, który w ramach „kontrindukcji” oddał swój zeszycik pewnej bardzo nieistotnej osobie).

Czym jest droga?

Dla pierwszego, historycznego zdobywcy gór, którym był Hannibal (a alpinizm jest wytworem okcydentalnym i tutaj szukajmy jego genezy), droga stanowiła po prostu **możliwość przejścia przez góry**. W czasach rzymskich znano już kilka dróg „przez Alpy” (rzecz jasna jeszcze nie „w Alpach”), o charakterze czysto utylitarnym i komunikacyjnym. Przebycie ich – oczywiście w warunkach letnich – było jednak ogromnym wyzwaniem, często skutkującym śmiercią.

W 1786 roku zdobyto Mt. Blanc, co powszechnie uważa się za moment narodzin alpinizmu. Motywem tego przejścia były zarówno ciekawość, jak i sens eksploracyjno-naukowy. W Polsce ów sens kulminuje chociażby w tatrzańskie działalności Stanisława Staszica. W jego czasach „droga” uległa już pierwszemu „redukcjonistycznemu doprecyzowaniu”. Oznaczała **możliwość wejścia na szczyt**. Cały wiek XIX, tak w Alpach, jak i w Tatrach, jest poszukiwaniem możliwości wejścia na poszczególne wierzchołki. W pierwszej kolejności – te najwybitniejsze, z czasem te bardziej poślednie. Potem zaczęto poszukiwać możliwości alternatywnych, co zdefiniowało „drogę” jako **każdą możliwą trasę wiodącą na szczyt**. Poszukiwanie takich możliwości stało się autonomiczną motywacją „alpinizmu”, który w tym momencie ostatecznie utracił sens eksploracji naukowej i ewoluował w kierunku „mierzenia się z wyzwaniem”, a w dalszej perspektywie w kierunku sportu.

Kiedy w 1910 roku padła w Tatrach południowa ściana Zamarłej Turni, istotą „drogi” (nazwijmy

ją w tym momencie „wspinaczkową”) stało się samo **przejście ściany jako problemu** (stricte wspinaczkowego). Od tego umownego momentu nie wszystkie drogi w polskich górach zasługują na miano „taternickich”. Alpinizm, a w ślad za nim taternictwo, weszły w epokę „rozwiązań ścianowych”. Początkowe próby koncentrowały się po prostu na odnalezieniu najłatwiejszej możliwości sforsowania danego urwiska, będącego „obiektem problemu”. Narzucało to dosyć żalosną **estetykę dróg** (co sobie właśnie wtedy uświadomiono! nieraz kluczono bowiem po całej ścianie w poszukiwaniu jej słabych punktów). „Alpy Hannibala” zostały zredukowane do „ściany”, niemniej rutyna przejścia była podobna – byle jak najłatwiej... Stało to w zasadniczej niezgodzie z ideą „wyzwania”, które zaczęło definiować motywację alpinistów i taterników, odróżniającą ich od zwykłych turystów (motyw psychologiczny), jak i z estetyką – bo jeszcze nie „stylem” przejścia. Ta ostatnia potrzeba wygenerowała pierwsze koncepcje „drogi idealnej”. Tak narodziła się era **diretissima** – jako drogi najdoskonalszej z możliwych, tzn. uwzględniającej geometrię ściany i forsującej ją od środka podstawy do wierzchołka – wedle zaleceń wertykalizmu. Możliwości prowadzenia *diretissim* i *super diretissim* były poniekąd *spiritus movens* techniki sztucznych ułatwień, która oznaczała po prostu kontrindukcję względem dotychczasowego, „klasycznego” stylu (był on de facto bardzo różnorodny, daleki od współczesnego rozumienia tego słowa w polskim języku – tożsamego z *free climbing*).

Już w latach 30. XX wieku, w niektórych rejonach Alp, takich jak Dolomity, pojęcie drogi ulega konsekwentnej redukcji do **rozwiązania logicznej formacji ściany**, np. filara czy ciągu zacięć. Stąd już tylko krok do drogi rozwiązującej **wolną połączyć ściany**. Wreszcie, w latach 60., gdy era *diretissimy* osiągnęła swoje apogeum, a technika sztucznych ułatwień sięgnęła po „mordercę niemożliwego” (nit), droga zaczyna polegać na przebyciu **dowolnie wybranego kawałka ściany**.

Era *diretissimy* upadła wraz z renesansem wspinaczki klasycznej – w rozumieniu *free climbingu*. Motorem postępu i inspiracją były tutaj skałki, zasadniczo oferujące krótkie formy wspinaczkowe o długości nieprzekraczającej jednego wyciągu. Zagęszczenie dróg na jednej ścianie (skale) wy-

musiło pojmowanie drogi jako **ciągu konkretnych chwytów**, a ponieważ możliwe były do zastosowania różne sposoby czy patenty zamiast „chwytu”, zaczęto operować terminem „przechwyty”, który odnosił się już nie do ściany czy skały, ale **wykonawanego przy przejściu ruchu**. Wspinaczka w skałkach – w szczególności na drogach o najwyższych trudnościach, streszczała się do polemiki: „wolno czy nie wolno tego się łapać”. Skorzystanie z jednego dodatkowego chwytu „poza drogą” mogło však obniżyć jej trudności w sposób bardzo radykalny. W ten sposób pojęcie drogi wspinaczkowej ewoluowało od prostego umiejscowienia na skale (ścianie) w kierunku zdefiniowania go poprzez **konieczność wykonywania takiego czy innego ruchu** (czyli przechwyty).

O ile w skałkach to oderwanie nigdy nie dokonało się w sposób zupełny, o tyle na sztucznych obiektach – wręcz samo się narzucało. Sztuczne ściany zdefiniowały drogę jako **tor przeszkód** i to o charakterze ruchomym... Stało się tutaj możliwe swoiste podnoszenie poprzeczki – to ono nadało sens drodze, a nie jakiś obiektywny układ chwytów czy formacji. W ten sposób, historycznie rzecz ujmując, droga uzyskała nową jakość definicyjną. Nie można już wobec niej stosować błędu prostego umiejscowienia. Tak jest przynajmniej na sztucznej ścianie. Pytanie brzmi – czy w ogóle są inne ściany niż sztuczne, tzn. inne niż te, które widzimy oczami wspinaczkowej wyobraźni? Widzimy je bowiem inaczej niż „normalny człowiek”, który spoglądając np. na urwisko Młynarczyka, myśli sobie „po chuj tam będę wchodził?” – chyba nie ma co do tego wątpliwości.

Moje stanowisko jest następujące (i radykalne) – nie ma innych ścian niż sztuczne! Innych niż „przetworzone” naszą lojanką wyobraźnią, sam fakt technologii, która legła u podstawy występowania czy to Młynarczyka, czy panelu na Koronie jest drugorzędny.

W wyniku przyjęcia tej postawy – *esse est percipi*, płynęło wiele konkretnych rozwiązań, w których partycypowałem, choćby wykute chwytty na **Chomeinim**. Niemniej, po kolei – droga nie może się obejść bez trudności technicznej.

Trudność ponad wszystko

„Trudność” – bez tego słowa nie może się odbyć żadna dyskusja o wspinaniu, ani nawet

Fot.: Piotr Turkot/ wspinanie.pl.

banalne chwalenie się wykazem przejść, nie może być przeprowadzony żaden wewnętrzny ranking. Trudność stała się kluczową jakością dla drogi w momencie, gdy ich wytyczanie w górach oderwało się na dobre od sensu eksploracyjnego. Stało się to na etapie rozwiązań ścianowych, chociaż już znacznie wcześniej wejścia na niektóre wierzchołki były uznawane za trudne – w kontekście innych – łatwych. Trudność jest jedynym pojęciem z kręgu około wspinaczkowych, które nie poddało się historycznej precesji czy interpretacji z prostego powodu – trudność (drogi wspinaczkowej) to po prostu **trudność techniczna**. A w każdym razie – da się przeprowadzić taką redukcję w sposób zasadny.

Trudność techniczna oczywiście jest bardziej skomplikowana niż konstytuujące ją dwa słowa. Zawiera miarę wysiłku czysto fizycznego, tak koncepcyjnego – polegającego na właściwym odczytaniu drogi (tzn. składających się na nią ruchów), jak i trudność techniczną sensu stricto – wymóg zastosowania takich, a nie innych technik wspinania. Dla uproszczenia trudność techniczna będzie dalej traktowana jako pewien pojęciowy monolit, niemniej trzeba było przypomnieć o jego składowych elementach.

Twierdząc, że poszukiwanie trudności technicznej drogi było, przynajmniej od pewnego momentu, i jest jedynym dającym się wyodrębnić sensem i motywacją alpinizmu – odróżniającym go od turystyki, działalności eksploracyjnej, czy naukowej w górach. Wniosek ten wydaje się być na pozór obrazoburczy, zwłaszcza w kontekście wysiłku mentalnego, jaki trzeba włożyć we wspinanie. Zdaniem niektórych, ów czysty wysiłek mentalny definiuje tzw. trudności psychiczne – a one mogą stanowić co najmniej równorzędną miarę oceny wartości przejścia. To oczywisty fałsz – wynikający z braku refleksji nad tym, co uprawiamy.

Weźmy pod uwagę następującą sytuację: wspinacz robiący 8a OS ma za zadanie zmierzyć się z serią „psychicznych” dróg, tzn. takich, na których konsekwencje odpadnięcia są bardzo poważne, albo przynajmniej potencjalny lot z cruxa jest długi i stresujący. Nietrudno zauważyć, że droga V+ nie będzie żadnym wyzwaniem dla naszego „królika doświadczalnego”. Przejdzie

ją OS solo, nie zastanawiając się specjalnie nad grożącym niebezpieczeństwem. Na VII–kowej drodze już się zastanowi i zapewne znacznie stosować ostrożne i miękkie ruchy. Gdzieś w okolicach stopnia 7a (VIII) zaczynają się poważne problemy psychiczne – wspinanie nabierze charakteru rzetelnie stresującego, każdy ruch będzie analizowany co do skutków, a nasz mistrz długo będzie się nad nim zastanawiał. Każdy z nas wspinających się, miał (w zależności od swojego poziomu) dostęp do podobnej empirii.

Wniosek, który się narzuca: **trudności psychiczne nigdy nie istnieją w sposób autonomiczny!** Istnieją one jedynie w oparciu o trudności techniczne, tym samym do nich się sprowadzają, a jedynym co je czyni jest kontekst sytuacyjny (tzn. nasze stricte techniczne i fizyczne możliwości plus asekuracja – tzn. jej brak).

Tak się zazwyczaj dzieje – owszem, są wyjątki – ale i te natury pozornej, np. w górach najwyższych, gdzie trudności psychiczne mogą być generowane np. warunkami pogodowymi, topografią, niemożliwością łatwego odwrotu. Jednak i tutaj, krok po kroku dałoby się przeprowadzić ich redukcję do trudności technicznych jako ich zasadniczej podstawy. Ekwipunek himalaisty waży swoje, niczym zbroja kopijnika, i człowiek weń wyposażony porusza się inaczej niż zagonczyk w postaci bulderowca... Niedotlenienie i stres termiczny sprowadzają się do czysto fizycznego wysiłku organizmu walczącego o przetrwanie – chociaż rzecz jasna fizjologia ta jest inna, niż w przypadku strzału do kłamy oddalanej o 110 cm. Topografia – implikująca komplikację wycofu też ma w perspektywie dodatkowy wysiłek fizyczny, który trzeba ponieść, a przynajmniej założyć taką możliwość. Zresztą – mówiąc bez ogródek – w himalaizmie chodzi dokładnie o to samo, co w skałkach – o prowadzenie coraz trudniejszych (technicznie) dróg – oczywiście w ramach rysujących się możliwości i uwarunkowań tej dyscypliny.

Trudność techniczna jest miarą wszechrzeczy we wspinaczkowej rutynie. Bez niej nie da się zdefiniować jakichkolwiek innych walorów wspinaczki, czy opisać drogi. Ba, jest rzeczą oczywistą jej *iunctim* z estetyką. Każdy z nas uzna za lepszy (tzn. ładniejszy) cel np. śmiało przewieszony filar, na którym istnieje możli-

wość poprowadzenia trudnych dróg, od połego i mokrego komina. Ładna skała częściej występuje tam, gdzie drogi są „syte” (co jest dodatkowym argumentem za wspinaczkowym *esse = percipi*) czyniącym **wszystkie ściany (skały) sztucznymi**. *Direttissima*, jako wzorzec drogi musi z reguły mierzyć się z większymi trudnościami niż droga biegnąca krawędzią, czy załamaniem ściany, etc. *Ergo* trudność techniczna nie poddaje się żadnemu istotnemu *de gustibus*, nie relatywizuje się, a przynajmniej nie w takiej skali, co droga wspinaczkowa rozpatrywana historycznie. Jest najistotniejsza. To jej poszukiwanie, tzn. egzemplifikujących ją dróg (*de facto* ciągów przechwytów – ruchów, które musimy wykonać – oczywiście przy ich pewnej subiektywnej interpretacji) jest zasadniczym wyznacznikiem. Dotyczy to **całego alpinizmu** – rozumianego jako zespół dyscyplin. To poszukiwanie zresztą jest jedynym spoiwem, na którym opiera się homogeniczność alpinizmu. Jest naszym „wyżej, dalej, szybciej”! Owo poszukiwanie trudności technicznej, paradygmat moralny jaki to wyznacza, powoduje, że bulderowiec podaje rękę himalaistcie (i *vice versa*), dysponując zupełnie inną emocjonalnością i intencjonalnością tego gestu niż w przypadku powitania użytkownika roweru wodnego.

Tworzenie dróg, które są egzemplifikacją coraz wyższych trudności, jest jedynym istotnym zadaniem każdego pokolenia wspinaczy. Cała reszta ich działalności jest w zasadzie mało istotnym dodatkiem sprowadzalnym do znaczenia np. literatury górskiej. Bez tej podstawy wspinanie zatraciłoby swój sens i swoje wytłumaczenie. Każde pokolenie ma swoich liderów wyłonionych – w o tyle demokratycznym procesie, że każdy może się wspiąć, poświęcając tej działalności wiele, aż do uczynienia jej całkowitą dominantą egzystencji. Oczywiście nie każdy kto dotyka skały tak potrafi – wspinanie nie jest tutaj wyjątkiem. O ile jednak w „normalnym” życiu społecznym w warunkach demokracji nie przysługują z tytułu „wybicia się” żadne inne przywileje niż finansowe, lub przewidziane systemem politycznym, o tyle we wspinaniu – podobnie jak w sztuce – niewątpliwie jest osiągalna rola demiurga! Dla nielicznych – niemniej jednak... Ich rolą jest dostarczenie nowych,

wyższych trudności w postaci dróg, aczkolwiek wystarczająca jest tutaj nawet prezentacja jednego przechwyty, który wnosi istotne *novum*. Rola demiurga jest dosłowna – raz stworzone trudności poddają się „rezonansowi kształtówórczemu” – tym samym są łatwiej osiągalne dla następców. O ile parę lat temu nieliczni wspinali się na poziomie VI.5, a dojście do tego poziomu kosztowało ich kilka sezonów pracy, o tyle dzisiaj nietrudno jest spotkać wspinacza, który mierzy się z takimi drogami już pod koniec pierwszego sezonu. Wspinacz ten korzysta z dobrodziejstw „rezonansu”. Raz odkryty labirynt (przez pojedynczego szczura, który chce się z niego uwolnić) staje się „zrozumiały” dla całej gromady wrzuconej w identyczną sytuację. Rozwiązanie przychodzi zdecydowanie wcześniej. To empiria. Podobnie jest z drogą, tzn. jej trudnościami. Stanowią one labirynt i o ile jest „lider – demiurg”, który wcześniej się z nimi uporał, nie mówiąc już o tym, że je „ustawił”, ich założenie stanowi mniejszy problem dla innych. Przekłada się to na statystykę przejść. Toteż najistotniejsza i nieprzecenialna we wspinaniu, zresztą w jakiegokolwiek ludzkiej innowacyjnej działalności (a innowacyjność to mierzenie się z labiryntami) jest rola demiurga – odkrywcy. Jedyną wydajną metodologią, jaką powinien posługiwać się demiurg, jest *anything goes*, czyli „wszystko ujdzie”. Żadne przyzwyczajenia, żadna „tradycja” nie może być obligatoryjnym punktem wyjścia w egzemplifikowaniu nowych trudności. Ich dostarczenie stanowi absolutnie kluczowe zadanie.

Myślenie takie może wydawać się herezją. A gdzie styl? Wszak istnieją *fair means* w sporcie, a wspinanie poniekąd mierzy do tej roli. Wszak istnieje „uświęcona” tradycja, albo co więcej, powszechna zgoda, że należy się wspiąć tak, a nie inaczej. Należy odrzucić ten balast! Z prostego powodu – styl przejścia jest tylko funkcją **chronologii**. Nigdy nie jest on współczesny z drogą ilustrującą nową trudność. Gdy zdobywano Everest, użyto dziesiątek tragarzy, butli z tlenem, aby „posadzić” na wierzchołku dwóch wybrańców. Styl tego przejścia oceniono dopiero ex post, w kontekście następnych wypraw i wejść, wreszcie w kontekście stylu alpejskiego, który jest dzisiejszym obowiązkiem.

Ale zagadnienie absolutnie bazowe – zdefiniowanie najwyższych wtedy trudności – pozostało. To samo dotyczy „epokowych” przejść w skałach, czy na alpejskich ścianach. Sam fakt ich powstania i „egzemplifikowania” przez nie trudności był ogromnym dobrodziejstwem na tle chronologicznych wydarzeń, które na tych drogach nastąpiły, czyli „szlifowania sposobu przejścia”. Wyzwanie raz postawione, ukazwane w swoich trudnościach (technicznych), zostaje obudowane niejako „dodatkowymi warunkami”. Przykładowo, droga przebyta na raty przez zespół trzyosobowy generuje wyzwanie jej przebycia przez odpowiednio mocną dwójkę albo zgola w systemie „indywidualnego RP” (vide *Metallica*). Niemniej, bez „bazowego faktu” dostarczenia trudności (w postaci *Metaliki* chociażby), rutyna indywidualnego RP byłaby **niemożliwa**. Toteż styl daje się redukować do chronologii, a jego status we wspinaczce jest co najmniej poslední w stosunku do faktu samego dostarczenia trudności.

Sprawy, o których tutaj mówię mogą budzić sprzeciw. Moim zdaniem płynie on z zasadniczej pomyłki – przyzwyczajenia. Otóż istnieje etyka ogólna, która dotyczy relacji międzyludzkich i etyka szczegółowa – profesjonalna dotycząca jakiejś ludzkiej aktywności. Ta ostatnia zawsze będzie zawierała poważny ładunek woluntaryzmu w stosunku do pierwszej (ogólnej). Z prostej przyczyny – gdyby nie było owego woluntaryzmu, nie byłoby możliwe wyróżnienie danej dyscypliny z tła innej ludzkiej aktywności. Skoro ów woluntaryzm jest *sine qua non* dyscypliny, musi się jakoś odciskać w jej etyce i nie ma tu powodu do darcia szat...

Zmierzam do prostego wniosku, że każde pokolenie wspinaczkowe powinno powierzyć „dostarczanie trudności” swoim „demiurgom” i etycznie rozliczać ich tylko z tego, że **nie są skuteczni**, a nie np. z wykutej klamy, np. tego, że w roku 2008, dysponując potężną aparaturą mięśniową i niewspółmiernymi możliwościami treningu (np. w stosunku do pokolenia Nowej Fali) nadal „ani dygną” na 9a – nie mówiąc już o włączeniu się do światowej rywalizacji (polegającej wszak na „dostarczaniu nowych trudności”). I z tego, że w polskich skałkach VI.7, no może z plusem, pokutuje wciąż jako *non plus*

ultra. Demiurgowie powinni zostać wyposażeni w przyzwolenie „kontrindukcji” (czyli zaprzeczenia wszelkim dotychczasowym wzorcom), byle skałę przesunąć przynajmniej „o cyfrę, o dwie”... Jeżeli to wymaga zniszczenia istniejącej drogi, np. *Nienasyceń* – należy to uczynić! I przemodelować „matrycę skały” tak, aby dostarczyła np. VI.9. Chronologia, na skutek mechanizmu, który opisałem, dostarczy później tak czy owak **dobrego stylu** – w wykonaniu innych oczywiście – niemniej korzystających z dobrodziejstw „rezonansu”.

Zasadniczo, poprzez taki a nie inny model, widzę realizację postępu we wspinaniu. Nie będę ukrywał, że to, co nazywamy „tradycją”, a co jest w efekcie **trzymaniem się niespójnych przyzwyczajajeń**, stanowi ogromny, wręcz zabójczy balast, zwłaszcza ze swoim nieodróżnianiem etyki ogólnej od profesjonalnej, z przyzwyczajeniem „błędu prostego umiejscowienia” drogi oraz innymi cechami, które w jej (tradycji) mniemaniu czynią ją lepszą.

Tradycja

Najogólniej stanowi ona wersję – zredukowanej do wymogów naszej dyscypliny – religii objawionej, która dysponuje kamiennymi tablicami z podarowanym (z nieba, chociaż moim zdaniem bardziej z sufitu) regulaminem „jak należy się wspiąć”. W realnym oglądzie tradycja jest szeregiem niezbyt spójnych przekonań, uwarunkowań lokalnych, wreszcie przyzwyczajajeń, które cechuje duży ładunek emocjonalny. Rolą tradycjonalistów jest bowiem nie tyle wspinanie się (i kluczowe zadanie wspinaczkowe, jakim jest tworzenie trudności), ile **ocena jak wspinają się inni**, aczkolwiek i sami tradycjonaści. Tradycja jest niespójna. Najogólniej – najgłębsze pęknięcie wewnątrz tradycji polega na jej historycznej genezie. Narodziła się ona w nawiązaniu do wspinaczkowych wzorców wypracowanych w Saksonii i na Wyspach Brytyjskich. O ile nie są one zupełnie przeciwstawne – to przynajmniej **o co innego w nich chodzi**.

Tradycja proveniencji saksońskiej (uważam ją za „uczciwszą”) stawia nacisk na fundamentalny obowiązek tworzenia drogi od dołu. Wszystko inne jest tej rutynie podporządkowane. W tym sensie wyróżnia się na tle tradycji brytyjskiej pewną etyczną

logiką – niemniej kosztem ogromnych kompromisów. Nigdzie indziej, niż w tradycji saksońskiej, nie jest lepiej widoczna dystynkcja pomiędzy „faktem utworzenia trudności”, a „chronologią”. W samej Saksonii drogi były prowadzone (tworzone) przy użyciu stylu AF, co *de facto* jest techniką hakową. Dopiero kolejne, chronologicznie przejścia owocowały ciągiem trudności w rozumieniu obowiązku korzystania z miejsc NHR – jako „odpoczynkowych”, kończących wyciąg. Wiele z historycznych dróg nie doczekało się przededefiniowania na RP (czyli na drogi klasyczne) – oznaczałoby to po prostu konieczność przebicia przelotów, a to jest sprzeczne z literą tradycji saksońskiej. Aplikacja tej tradycji w góry przyniosła podobny efekt jak uporczywe trzymanie się jej w skałkach Saksonii. Te ostatnie dawno zostały zdetrinizowane z miana rejonu, gdzie „tworzono trudność”. Podobnie drogi w górach, rejonach skałkowych, poprowadzone wedle tej tradycji „odstają” co najmniej o 2–3 stopnie w dół od aktualnych ekstremów spod znaku „etyki RP”.

Tradycja brytyjska podjęła inny cel. Jest nim wystawienie pomnika „tradycjonalistom”. Pomnik taki stanowi droga, która ma w założeniu minimalizować ilość przelotów *in situ*, a najlepiej nie posiadać ich w ogóle. Cel ten jest tak istotny, że kompromis, a raczej „suma oszustw”, przyjął postać rutyny *anything goes*. Dozwolone jest wszystko to, co w „etyce RP” – wędka, uporczywe patentowanie „na śmierć”, wielokrotne próby prowadzeń etc. Od etyki RP tradycję brytyjską różni tylko jej negatywny stosunek do przelotów *in situ* i zakaz preparacji skały – chociaż z tym w praktyce bywało różnie. Pomnik, jaki tworzy ta tradycja, polega na wygenerowaniu drogi, pod którą – najlepiej nieznaną lokalnych uwarunkowań, a wizytujący lojarz – dosłownie „posra się w gacie” (na sam jej widok...). Tak z reguły jest, gdyż ów lojarz nie zna „kontekstu poprowadzenia drogi”, ewentualnie ktoś powie mu na ten temat półgębkiem kilka zdań. A problem, czyli drogę do założenia, ma przed oczami – jest ona wyzwaniem. Z reguły stoi za nim lokals i mówi „weź i przystaw się”. Tradycja brytyjska jest wyjątkowym wręcz konglomeratem hipokryzji i przemilczeń! I w tym „grzechu pierworodnym” tkwi zdecydowana jej niższość od rozwiązań i postulatów saksoń-

skich. W praktyce tradycjonalizm w górach (dla przykładu) polega na wymiennym stosowaniu procedur i postulatów obu ww. tradycji. Nieusuwalna jest jedynie suma oszustw, która ewoluuje albo w stronę saską albo „brytyjską”, wedle *de gustibus* autorów drogi.

Jest jedna bardzo denerwująca metoda, bo przecież nie przywara tradycjonalistów. Nazwałbym ją zawłaszczającą. Otóż tradycja zaczyna się, wedle tej metody polemicznej, wraz z narodzinami samego alpinizmu. Dopiero później wspinanie doświadcza zerwania z nią, czy odejścia od niej. To oczywiście wersja „nieskalanego początku”. O wiele bardziej drażniące jest uznawanie rutyny, ekonomii działania za cnotę (tradycyjną). W górach siłą rzeczy z pobudek *stricte* logistycznych prowadzi się większość dróg „od dołu”, przy ukłaskach często korzysta ze starego „zlomu”. Tak jest szybciej i taniej, wspinacze także są leniwymi ludźmi. Jest to procedura naturalna i jedyna do sensownego zastosowania w kilkusetmetrowej ścianie, zwłaszcza o słabo rozpoznanej topografii. Niemniej tradycja zapisuje takie przejścia na swoje konto zapominając o tym, że cnotę (za jaką chce uchodzić) powinien towarzyszyć wybór! I że nie polega ona na propagandzie, i to dość prymitywnej, podobnej do stwierdzenia, że wszystkie przejawy humanitaryzmu są lewicowe. Niemniej tradycjonaści nie potrafią zrezygnować z tej osobliwej reklamy. Jakżeby inaczej, w jaki inny sposób okazaliby się być „pięknymi”?

Te wszystkie wyżej wymienione cechy tradycji czynią ją sprowadzalną do kategorii **estetycznej**. Nie **etycznej** – bo „etyka praktyczna” każdej tradycji jest jak widać bardzo niskiej próby. Estetyzowanie tradycjonalistów polega na dosłownym spijaniu zachwyty nad ich drogami. Na niczym innym!... Oczywiście w oderwaniu od kontekstu przejścia. Etyka RP podobnej hipokryzji nie zawiera. Koncentruje się wreszcie na tym, co najistotniejsze – na trudności technicznej. *Ergo, tradycja nie ma żadnej siły jako argumentacja*. Ma siłę o tyle, o ile znajduje „poputczików”, którzy chcą się plawić w jej estetyzujących postulatach i „spijać zachwyt” z niezasłużonego szacunku, ze „sławy”. Jestem bardzo daleki od lekceważenia tej siły (a inną tradycja nie dysponuje). Jest to bowiem siła zelotyizmu religijnego, wiary objawio-

nej, która nie jest usuwalna za pomocą żadnej argumentacji czy dania przykładu, że można się wspinać wydajniej. Zresztą, jakież to argumenty obaliły bogów słowiańskich, germańskich, czy azteckich? Z pewnością nie argumenty werbalne, i nie płynące z ukazania jakiejś lepszej rutyny działania. Walka, spór z tradycją w obrębie wspinania ma taki sam charakter jak ww. przykłady i oznacza podobny balast!

Dodatkowa hipokryzja tradycjonalistów polega na tym, że korzystają z dobrodziejstwa wspomnianego już wyżej rezonansu, tzn. mają oni możliwość obcowania z trudnościami zdefiniowanymi **przez innych** – bynajmniej nie tradycjonalistów. Nie ma przykładu wytworzenia nowych trudności w oparciu o gorset tradycji (niechby tożsamej, jak sama deklaruje, z dobrym stylem i czystymi środkami). To „kontrindukcja” i eksperymenty prowadzą „demiurgów” do nowych trudności. A nie tradycja!... Tradycjonałisci z tego korzystają – zresztą jedyny postęp, jaki zachodzi immanentnie we wspinaniu, wedle ich receptur też dotyczy jedynie **trudności technicznych**. Jak w każdym innym wspinaniu zresztą (patrz wywód na początku) tradycjonałisci **nie doskonalą stylu**, bo mają go za raz dany z nieba na swoich mentalnych, a kamiennych tablicach. Chcą się wspinać „coraz trudniej”, bo tylko to daje „coraz wyższe trudności psychiczne” (np. w etyce brytyjskiej), tylko, choćby nie wiadomo jak ciągnąć ich za języki, nigdy nie ujawnia swoich motywacji.

Wniosek jest bardzo bulwersujący. Otóż przy zastosowaniu do wspinania „suwmiarki” etyki ogólnoludzkiej (co bardzo lubią robić sami tradycjonałisci twierdząc, że ich postulaty z niej mają niby wypływać) starcie tradycji z etyką RP zdecydowanie wypada na korzyść tej ostatniej. Garb, balast hipokryzji jest zbyt wielki! Wszystko co człowiek osiągnął – osiągnął **wbrew naturze**, w sensie walki z jej i własnymi uwarunkowaniami. Ta walka dała efekt w postaci kultury, która jest po prostu artefaktem mentalnym. W momencie, w którym zaczynamy owym artefaktem dysponować, poniekąd kończy się dominacja natury. A z pewnością kończy się jej dominacja jako fałszywego, dobrego mitu. Już nie tylko natura, ale nasza własna kultura wyznacza nam porządek. Nie tylko napęnlanie brzucha jest ważne, ale myśl o „niebie gwieździ-

stym i prawie moralnym we mnie”. Kultura zaczyna ustawiać płotki i poprzeczki – nasz nowy, ale przecież sztuczny tor przeszkód. Był ludzki dokonuje skoku ontycznego, dzięki swej sztuczności. Dzięki temu, że obcuje z problemami, których nie postawiła natura. Skoro wspinanie jest częścią kultury, a jest nią chociażby jako sport, to gdzie jest uzasadnienie przywołanej na początku reguły? Tej, która głosi, że „tylko natura wyznacza prawdziwe problemy” (prawdziwe – czyli warte podjęcia trudu rozwiązania). Gdzie uzasadnienie dla tego, że tylko naturalna skała jest obiektem (jedynym godnym!) naszej wspinaczkowej przygody, że najmniejsza przydana jej sztuczność jest po prostu destrukcją, a sama myśl o tym wspinaczkową „myśl-zbrodnią”?

Nie ma **żadnego uzasadnienia tych postulatów**, przynajmniej racjonalnego. Albowiem uzasadnienie konwencjonalne płynące z potrzeb i duchowych pretensji tradycjonalistów jest z pewnością bardzo mocne. Niemniej daje się ono sprowadzić jedynie do ich „widzimisię” – próba racjonalizacji daje druzgocący efekt odwołania się do mitu dobrej natury – patrz powyżej... Niniejszy wywód, moim zdaniem, skutecznie deprecjonuje nie tylko tradycjonalizm we wspinaniu, z jego nabożnym głaskaniem skały, „aby nie uczynić jej krzywdy”. Deprecjonuje wiele pochodnych postaw ludzkich, takich jak oszalałe wersje ekologii, czy medycyny naturalnej, która za cel postawiła sobie obyć się bez antybiotyków, nawet kosztem życia pacjenta...

Z wywodu mojego, że cała kultura jest sztuczna i że nie ma innych ścian niż sztuczne – tzn. przetworzone wyobraźnią wspinaczkową, nie płynie jednak wcale obowiązek holistycznej destrukcji zastanej rzeczywistości, czy jakiegoś jej przykrasowania wedle własnego uznania. Nie płynie też żaden obowiązek tworzenia tylko sztucznych dróg, używania we wspinaniu dętka i betonu, zastępowania skały panelem, a notatnika z zapisywanymi drogami – pamięcią ruchową. Jedyna rada jaka płynie jest taka, aby nie załamywać rąk, gdy są stosowane tytułem eksperymentu „kontrindukcyjne” względem natury metody, takie które „zamieniają ją w artefakt”. Załamywanie rąk jest bowiem najlepszym papierkiem lakmusowym absolutyzmu moralnego. Dla przypomnienia

– jest on postawą może i szlachetną, ale utopijną w realizacji. Niezmienianie rzeźby skalnej jest jednym z takich absolutystycznych dogmatów – na niwie naszej dyscypliny. Dogmatów, które powinny ustąpić wartościowaniu sytuacyjnemu! Pewna miara sztuczności dróg powinna być akceptowalna – inna nie, a która – o tym powinien decydować sformułowany powyżej moralny paradygmat trudności technicznych jako wspinaczkowej miary wszechrzeczy.

Wszystko, co służy dostarczaniu nowych trudności, jest dobre i pożądane (w naszej dyscyplinie rzecz jasna – o niej dyskutujemy). Wszystko inne ma w najlepszym razie neutralną kwalifikację. Nawet styl – ten zresztą, jak wspomniałem, zawsze jest kwestią chronologii – a zazwyczaj jedynie wlecz się w ariergardzie (nowych trudności). Nie bójmy się sztuczności! To jest apel całkiem humanistyczny – i to wcale nie przez „ch”, bo takim (c)humanizmem często posługują się religijni tradycjonałisci (na szczęście nie wspinaczkowi – mimo niepokojących tendencji). Tylko na polu sztuczności, kultury, sztuki jesteśmy „równi bogom/Bogu” – jak kto woli... Tylko tutaj możemy stwarzać, a nie tylko przetwarzać. W każdym innym rozdaniu, a zwłaszcza w rozdaniu Natury jesteśmy w dupie! Pytanie retoryczne do tradycjonalistów: czy pragniecie, aby wspinanie się tam znalazło?...

Moja wypowiedź ma dwa zasadnicze źródła. Jednym jest gniew. Gniew, który budzi tradycjonalizm we wspinaniu. Nie dlatego, że istnieje, że ludzie wspinają się – tak czy owak definiując go na swoje potrzeby. Mój gniew budzą tylko niezaspokojone roszczenia tradycjonalistów, tożsame z roszczeniami przedstawicieli wielkich religii. Religia jest zachowaniem politycznym. Nietrudno dostrzec tę zależność analizując byle wycinek historii. Religia generuje tyleż zła co polityka, owszem – być może tyleż samo dobra. To są jej możliwości – nigdy nie wykraczają one poza politykę, albowiem „po owocach ich poznacie” – i polityka i religia są „widzialne”. A jednak, z niewiadomego tytułu, który wydaje się być dość prostym mechanizmem psychologicznym – religia domaga się jakiegoś lepszego traktowa-

nia niż polityka. Nie chce podlegać takiej samej ocenie – chociaż dotyczy zachowań publicznych. Gdy się proponuje jej intymność ludzkiego wnętrza czy domu, wtedy ona skwapliwie powołuje się na... prawa polityczne. Ale zawsze – tak czy owak – chce siedzieć na pierwszym i najwyższym krześle. Chociaż nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia. A „zwykła” polityka ma – jej miarą jest po prostu skuteczność. Religia była – a i to tylko podobno – skuteczna tylko w 1 (słownie „jednym” przypadku). Mówi się o tym, że niejaki Jezus Chrystus zmartwychwstał... Tymczasem skutecznych polityków było tysiące, podobnie jak dziesiątki wybitnych wspinaczy, którzy „stworzyli owe trudności”.

Podobne roszczenia ma tradycja we wspinaniu. Jej racjonalizacja jest **żadna** – oprócz czysto estetycznych preferencji, a argument *de gustibus* jest przecież najmarniejszym z marnych... Tradycja, tradycjonałisci nie partycypują w żadnym postępie w naszej dyscyplinie. Nie tworzą nowych trudności technicznych. Stylu też nie doskonalą – albowiem OS, RP, solo są po prostu pewnymi kliszami przynależnymi całemu wspinaniu (tzn. skalnemu). *Ergo* tradycjonałisci są po prostu „klubem zainteresowanych” w czerpaniu ze źródła prestiżu, jakim powinna się cieszyć tradycja. Swoją wiarę proliferują odwołując się do ludzkiej potrzeby ekskluzywności – dość konformistycznej – wszak w istocie każdy z nas chce być wyjątkowy... Przekraczają barierę śmiechoty z należytą powagą kapłana sprawującego najbardziej absurdalną liturgię – www.wspinanie.pl. u końca 1-szej dekady XXI wieku informuje o „tradach” w stopniu VI+ (*sic!*), chociaż VI.6+ w etyce RP to za mało, aby zasłużyć na odrębną notatkę. Takie postępowanie, sama jego możliwość budzi gniew – gniew niezaspokojonego przywileju.

Drugie źródło mojej wypowiedzi to moje lata. Pisząc te słowa kończę 47 lat... Jest to wiek, w którym mimo najlepszych starań, nie można już oczekiwać pozycji wspinaczkowego „demiurga”, ani jej piastować. Nie ma możliwości celowania w zasłużone z tytułu wprowadzania nowych trudności przywileje. Jednym słowem, mój dzień dzisiejszy oddala argument „interesowności” i ustawiania realiów we wspinaniu pod siebie. Jest to natomiast czas dobry na refleksję. A refleksja – to żal z powodu tego,

co się zrobiło i czego się nie uczyniło. Otóż najbardziej żałuję faktu, że nie trzymałem się konsekwentnie postawy, którą powyżej artykułowałem, że mając ją sprecyzowaną od lat co najmniej ponad dwudziestu paru – realizowałem ją „po kątach” i z poczuciem (wtedy) możliwości „złapania na gorącym uczynku”. To był zasadniczy błąd – rozumowanie wskazuje jasno, że to ja – nie adwersarze – miałem rację. Empiria, tzn. skuteczność także świadczy na moją korzyść. Choćby w bezpośredniej konfrontacji. Pamiętam swój pierwszy wyjazd w czeskie piachy (w 1986 roku) w towarzystwie śląsko-lódzkiej ekipy. Oni poszli na pierwszą drogę VIIc, ja zacząłem od IXc, tego samego dnia zrobiłem pierwszą swoją Xa. Podczas tego wyjazdu też – na Suchych Skałach – zrobiłem flashem drogę, która we francuskiej skali miałaby 7c, aczkolwiek jej standardy ubezpieczenia były zgoła inne. A jednak nie potrafiłem się pozbyć pewnej wstrzemięźliwości. Tak wspinaczkowej, jak i życiowej – na swoją zgubę, ponieważ na niekorzyść polskiego wspinania – bo „trzeba było łapać Pana Boga za nogi” jak po temu była okazja!

Teraz przyznaję bez ogródek – to względny *stricte* towarzyskie, fakt iż posiadałem takich, czy innych kolegów, nieraz nawet „dyżurnych wrogów”, którzy deklarowali tradycjonalizm, uniemożliwił mi konsekwentne podążanie za swoimi przekonaniem, dotyczącymi wspinania. I tego żałuję, chociaż to jedna strona medalu... Ile z tego tytułu byłoby „takich kłam” jak na Chomeinim czy Metallice (należy je rozpatrywać już raczej w charakterze głupawki, tzw. „drugiej młodości”) – tego nie wiem... Tak czy owak niesłusznie represjonowałem swoje chęci, chociaż może z tego tytułu dziś mam przyjaciół i dobrych znajomych. To z kolei jest niewątpliwie zysk. I w tym momencie – znów muszę się uklonić – nie ma żadnego innego powodu do szacunku dla tradycjonalizmu wspinaczkowego, niż ten, że wyznają go moi koledzy. Ten fakt był dla mnie kluczowy w pracach nad Porozumieniem Ta-trzańskim. Tego akurat nie żałuję. Ambivalencja – to jedyny smak tak wspinania, jak i życia.

Przyznaję chętnie i mam nadzieję – obiektywnie, że artykuł mojego świetnego kolegi Szalonego wzbudził mój autentyczny zachwyt, lecz jednocześnie – przeciwnie – wywołał zadziwienie. Zachwyt nad konsekwencją i spójnością wywodu, nad czytelnością wniosków i odwagą myśli, powiedzmy sobie otwarcie – obrazoburczym. Zadziwienie, że Szalony wykazuje taki brak zrozumienia dla istoty tradycji we wspinaniu – tym bardziej zaskakujący u zdeklarowanego, jak mi się zdawało, konserwaty-
sty! Bo owszem; wywód jest całkowicie spójny, ale tylko w odniesieniu do zawartych przesłanek. Przy uwzględnieniu innych – w rozumowaniu nieświadomie lub intencjonalnie pominiętych – wywód, jak uważam, pozostaje eleganckim sofizmatem.

PRZECIWI ANARCHII

Tekst: Artur Paszczak

DWUGŁOS O TRADYCJI WE WSPINACZCE

Fot.: Tadeusz Grzegorzewski.

ONSIGHT Centrum Wspinaczkowe

Hala Sportowa Kolo
Warszawa, ul. Obózowa 60

zapraszamy codziennie od 10⁰⁰ do 22⁰⁰

dojazd z Centrum tramwajami: 1, 12, 13, 20, 23, 24
przystanek: Magistra

Zaatakuję dwa filary rozumowania Szalonego: teoremat trudności technicznej i twierdzenie o bezsensie tradycji, najpierw jednak poświęcę krótki akapit zagrożeniom płynącym z potencjalnego wprowadzenia w życie jego postulatów.

Konsekwencje wprowadzenia w życie koncepcji „omnipotentnego demiurga” nie są tylko przera-

żające: co gorsza, one są kompletnie nieprzewidywalne. Gdyby faktycznie zezwolić demiurgowi na realizowanie własnej wizji bez żadnych ograniczeń w imię wielkiego dzieła nowej trudności, stanowiłoby to gigantyczny eksperyment o niemożliwych do wyobrażenia skutkach. Trudno wymyślić, do czego byłaby zdolna jednostka wyzwolona z konwenansów – czy pojawiłyby się sztuczne chwyt przykręcone do ściany Kazalnicy, jak to się stało w Mamutowej? Albo całkowicie i tym razem konsekwentnie wykute linie na Wołowej? Rozpatrywanie takiego faktu w kategoriach estetycznych wywołuje odruchowy sprzeciw, ale nawet bez tej cezury, nawet zwolennikom rekordu, trudno byłoby zaakceptować ten stan rzeczy, a przecież jest on immanentnie wpisany w koncepcję Szalonego. W miejsce rzekomej religii objawionej (tradycji) proponuje Szalony de facto sekciarstwo trudności – z demiurgiem jako nowym kapłanem. Tradycja, kościec wielkiej umowy pomiędzy kolejnymi pokoleniami, zostałaby zastąpiona nihilistycznym materializmem symbolizowanym przez cyfry, wśród których, *nomen omen*, sześć pełni zasadniczą rolę...

Demiurg czyli kto?

Konsekwencje wprowadzenia w życie koncepcji „omnipotentnego demiurga” nie są tylko przera-

Mnożąc wątpliwości dalej – kto namaszczałby demiurga, powstaje zasadne pytanie?

W dążeniu do rekordu wszyscy mogliby czuć się równi, a więc samo to dążenie mogłoby – w sytuacji braku zasad – uchodzić za wystarczający przyczynkę do awansu i, poprzez samonamaszczenie, doprowadzić do całkowitej anarchii, której ceną byłaby dewastacja skał i gór, wynikająca z ich totalnego uprzedmiotowienia. Jedynym ograniczeniem, które zapobiega takiemu stanowi rzeczy, jest jakiś rodzaj konsensu pomiędzy poszczególnymi środowiskami, pomiędzy dążeniem do rekordu a bezpiecznym *status quo*. W tym ujęciu konsens taki staje się czymś niezbędnym, nieuniknionym i nieuchronnym – jeśli chce się konstruować realizować swoje pasje. Dlatego, wbrew temu, co twierdzi Szalony, Porozumienie nie jest z niczyjej strony aktem ustępstwa – ono jest po prostu koniecznością, historycznym fatum. Demiurg skazany jest na egzystencję w przestrzeniach zamkniętych zasadami – być może ze stratą dla rekordu, ale z zyskiem dla samego wspinania.

Trudność jako suma percepcji

W miejsce *Esse est percipi* Szalonego ja wolę proste, ale przekonujące *Perception is reality*. Ta często przywoływana teza zawiera w sobie z pozoru tylko banalne stwierdzenie, że to subiektywny odbiór decyduje o postrzeganiu rzeczywistości – w tym przypadku to indywidualne doświadczenie determinuje poziom określany jako stopień, czy skala trudności. Szalony stwierdza rzecz oczywistą, że poziom ten będzie różny dla różnych wspinaczy, w zależności od ich psychiki i wytrenowania. Czy eliminuje to jednak istnienie trudności psychicznej jako integralnego składnika ogólnej trudności?

Wbrew tezie Szalonego, można jednak wyparać trudność psychiczną z trudności ogólnej, wyzując ją z elementu technicznego. Weźmy trawers pod wschodnią Blanca – kilkaset metrów spaceru pod wiszącymi serakami. Technicznie zerowy, psychicznie – o czym łatwo się przekonać – wcale niełatwy. Weźmy przejście Wielkiego Kuluaru tej ściany – przejście w stopniu I, może II, do dziś niepowtórzone. Dlaczego? Przecież łatwe!

Weźmy drogi na Filarze Narożnym i zmierzmy je do choćby Dru. Na tym pierwszym, w sezonie przejścia można policzyć na palcach jednej ręki – na Dru idą w setki. Dlaczego? Czy

WFN jest trudniejszy **technicznie** od Dru? Wcale nie – ale jest trudniejszy **ogólnie**, i wie to każdy, kto się z nim odważył zmierzyć.

Nie bez powodu mówi się w świecie wspinaczkowym o „powadze” drogi, „zaangażowaniu”, jakiego wymaga. Takie drogi to kwintesencja alpinizmu, takie drogi zawsze wzbudzały największy zachwyt – „Himalaja Alpine Style” stał się biblią alpinistów przecież nie z powodu cyfry, choć równie błędnie byłoby powiedzieć, że i bez względu na nią.

Cyfra i Psychia to przenikające się wzajemnie składniki, dopiero wspólnie dające istotę przeżycia w alpinizmie, to nasze yin i yang, które tylko łącznie zapewniają spełnienie. Osobno stanowią jedynie puste, wyreparowane surogaty, o czym łatwo się przekonać, wspinając się na ścianie i na wędkę.

A zatem to, że trudności psychiczne (w sensie poczucia zagrożenia) są tak trudne do uchwycenia integralnie, nie stanowi żadnego dowodu na to, że nie istnieją one autonomicznie. Wręcz przeciwnie, tak jak w całym alpinizmie, gdzie duchowość dopełnia się z fizycznością, tak i tu one **muszą** istnieć. To taka wspinaczkowa zasada nieoznaczoności – w chwili, gdy go oświełimy, elektronu już tam nie ma, ale przecież on istnieje! Więc choć element psychiczny ciągle wymyka się naszemu opisowi, to jest nieodmiennie związany z naszym przeżyciem, jest jego nieodłącznym składnikiem, co, być może, wyraża credo wspinacza konserwatyisty, w odróżnieniu od wspinacza karteżjanisty.

Tradycja i styl jako spuścizna

Spójrzmy jak rozwinął się alpinizm, a ściślej, kto go rozwijał.

Otóż rozwijali go brytyjcy głównie džentelmeni (posiłkując się naturalnie tubylczą ludnością), dla których istnienie kodeksu honorowego było czymś równie naturalnym jak oddychanie. Zwróćmy uwagę – powoli odchodził w niebyt czas ciągłych wojen, na których tradycyjnie wyżywali się szlachetnie urodzeni. Nieodłącznym towarzyszem tychże wojen był jakiś rodzaj **kodeksu rycerskiego** (i to bez względu na geografie – od Japonii po Amerykę i Afrykę), jakiś etos, który nadawał tej walce walor równie szlachetny, jak świadectwo urodzenia jej uczestników. A szlachetnie urodzeni zaczęli się właśnie nudzić w tym nowym, spokojnym świecie, zwrócili więc swe zainteresowa-

nia ku nowym wyzwaniom. Czy mogło być zatem inaczej niż tak, że brytyjski džentelmen przeniósł stare zasady na arenę nowego pojedynku, jaką stały się góry?

Zasady *fair means* to nic innego jak kodeks rycerski dostosowany do potrzeb i warunków alpinizmu. To zasady honorowego pojedynku na równych warunkach. Każda ze stron ma swoje przewagi, ale każda posiada też ograniczenia. Dżentelmen te ograniczenia akceptuje, nawet, jeśli grożą one porażką.

Zasady *fair means* mówią w skrócie tyle tylko i aż tyle, że góra musi mieć szansę wygrać. To jest właśnie kwestia stylu. Dlatego Mummery zostawił kartkę z informacją *absolutely inaccessible by fair means* ponieważ miał świadomość, że góra JEST do pokonania. W ten sposób zaprzeczył roli omnipotentnego demiurga, na rzecz *arbitra elegantiarum*. Bo to smak, styl, to że *gentleman never runs* określają skalę zwycięstwa, nie zaś samo zwycięstwo. Kiedy Brytyjczycy pod komendą sławnego Lorda Lovata (uzbrojonego w strzelbę Winchestera) atakowali w 1944 most w Normandii, to szli krokiem marszowym, przy dźwięku kobzy grającej „Blue Bonnets over the Border”, pomimo siekających w nich niemieckich karabinów MG-42. Podobnie nasz Wieniawa, idąc z meldunkiem do 5 pułku piechoty w czasie sławetnych walk nad Styrem, ani na chwilę nie przyspieszył kroku w otwartym terenie pomimo prażącego do niego rosyjskiego snajpera. „Takiej frajdy ja, ulan, nie mogłem sprawić obywatelom z piechoty”, wspominał. Styl, forma, fason – te elementy ze słownika džentelmena zagościły w świecie alpinistów od samego początku i od tego początku zaczęły również nieuchronnie erodować.

Słusznie powołując się na tradycję brytyjską i saksońską Szalony, moim zdaniem, nieprawidłowo definiuje tę pierwszą – Brytyjczyk bardzo by się zdziwił, gdyby usłyszał słowa Piotrka. Obleganie dróg, styl *head-point*, nie stanowią o istocie tego stylu. Określają one jedynie dopuszczalne ustępstwa, na jakie ewentualnie styl ten jest gotów pójść. Ale są to wyłącznie koncesje na rzecz niezaprzeczalnej potrzeby śrubowania trudności technicznej, której tradycja w ogóle nie neguje. Tradycja mówi tylko jak to robić, aby być godnym ukłonu.

Najkrócej ujmując, etyka brytyjska narzuca (według ważności):

- atak od dołu i bez rozpoznania – jako element równych szans;
- zakaz ingerencji w skalę – jako element dobrych manier;
- wspinaczkę klasyczną – jako element elegancji.

Zwróćmy uwagę, że wspinaczka hakowa stanowi istotne naruszenie etosu, i styl ten miał z etyką zawsze poważne problemy, szczególnie w zakresie używania wierceń, których nie mógł uniknąć, a które starał się rozpaczliwie ograniczyć. Tkwiła tu poważna sprzeczność stanowiąca w istocie nierozwiązywalny problem, który stał się zarzewiem upadku hakówki i spowodował ostatecznie wielki i nieuchronny come-back free-climbingu. Dlatego klama wykuta na *Metallice* stanowi, być może, element postępu technicznego, ale jest jednocześnie czymś po prostu nieeleganckim, czymś nie fair, co w džentelmenie musi wzbudzić niesmak. A jeśli nie wywołuje reakcji to tylko dlatego, że chodzi o kolegów...

Jest prawdą, że styl w pewnym stopniu redukuje się do chronologii. Zawsze jednak styl lepszy u zarania będzie wzbudzał w tradycjonalistach większe uznanie, co nie przeszkadza im przecież pracować na rzecz poprawy tego gorszego. Tradycjoniści, jako wspinaczkowi konserwatyści, są bowiem w znacznym mierze praktykami, nie zamierzają poleć na szafcu swego etosu w imię obrony dawno straconych pozycji – starają się jednak wpływać na ogólne oblicze wspinania korzystając obszernie z dobrodziejstw stylu RP. Tak, tradycjoniści beczelnie korzystają z „rezonansu” i dzięki temu podnoszą poprzeczkę wysoko – **tworzą nowe trudności**. Ale są to trudności na innej płaszczyźnie niż „przechwyt” – weźmy pierwszy z brzegu przykład: *Arca de los Ventos* w Patagonii, poprowadzona w nienagannym stylu. Potem trawers Torres – podobnie. To są nowe granice trudności dzisiaj, ale granice wykraczające daleko poza pojedynczy ruch gimnastyczny. Weźmy Steve’a House’a na Nanga Parbat, Marko Prezelja na Chomolhari, weźmy redefiniujące styl i szybkość przejścia na Denali, takie jak *Light Traveller* chociażby. Jest z czego wybierać, co więcej, w ostatnich latach obserwujemy, po latach erozji, falę powrotu do tradycji, bo wszyscy potrzebują koniec końców wymiaru szerszego niż tylko „paradygmat przechwytu”. Wszyscy wyczuwamy przecież, że chodzi o coś jeszcze. I powiem więcej – mgliście dociera do nas,

że jedyne ściany to **ściany naturalne**, jedyne drogi to te, które zapisane są już w skale, a których nasze przykryte łuskami oczy i niewprawne ciała nie są jeszcze stanie odkryć. To dlatego Steve Gerberding zjechawszy wywierconą linią *Highway to Hell* na El Capie powiedział – „tam nie ma drogi”. Bo to, co spreparowane, choć istnieje obiektywnie, to subiektywnie stanowi tylko pewnego rodzaju zenujący artefakt, nad którym, co najwyżej, przechodzimy do porządku jak nad przypadkowym faux-pas w dobrym towarzystwie.

Jednocześnie przecież przyznać muszę, i to bez niechęci, że nowa jakość we wspinaniu rodzi się z konfliktu i starcia i – zgodnie ze swą wojenną genezą – z walki dwóch stylów. Postrzegam tę walkę jako korzyść, jako atut – o ile żadna ze stron nie zwycięża w niej na trwałe. Musimy myśleć jak zdradziecki Jogaila, który krocząc po grunwaldzkim polu boju już zamyślał o restauracji Zakonu, i nie możemy pozwolić na eliminację żadnej z naszych kultur, bo to zubożyłoby nasz świat i nasz rozwój przyszły w sposób niepowetowany. W tym wielkim zamyśle tkwi mądrość i wartość Porozumienia – jak sądzę – i przyczynek do jego trwałości.

Nie potrzeba nam wszechmocnych demiurgów – ale przecież potrzeba nam, i jak pokazuje historia zawsze je mieliśmy, wielkich osobowości, wyznaczających nowe horyzonty i kreślące nowe symbole trudności. Te nietuzinkowe postacie, które wyłamując się z rutyny i szarości, koniec końców odnajdywały dotychczas wspólny język w spuściźnie tradycji wspinania, były i zawsze będą naszym *spiritus movens*. Bo przecież bez względu na wyznaczaną etykę wszyscy wspinacze świata mówią jednym językiem – a jest to język „szarego zeszytiku” – tak kompletnie niezrozumiały dla człowieka spoza zadziwiającego kręgu wspinania. Nie da się ukryć, że trudność napędza nasz rozwój. Kwestionowanie tego to zaprzeczanie istocie alpinizmu. Chylę więc czoła przed kapliczką trudności bo wiem, że nie może ona stać pusta. Jakkolwiek mocno chciałbym zatrzymać czas to przecież wiem, że skazani jesteśmy na rozwój i postęp. Dlatego zgoda; potrzebujemy demiurgów, ale zamkniętych w klatce, złotej klatce, którą czasem, nie za często, siłą swej wizji i swej woli zdołają przenieść i postawić w zupełnie nowym miejscu.

My zaś, podążymy tam za nimi.

SZKOŁA ALPINIZMU W PIONIE

ZAPRASZA NA

→ **NAJWIĘKSZĄ ŚCIANĘ WSPINACZKOWĄ
W CENTRUM WARSZAWY** UL. NOWOWIEJSKA 37B

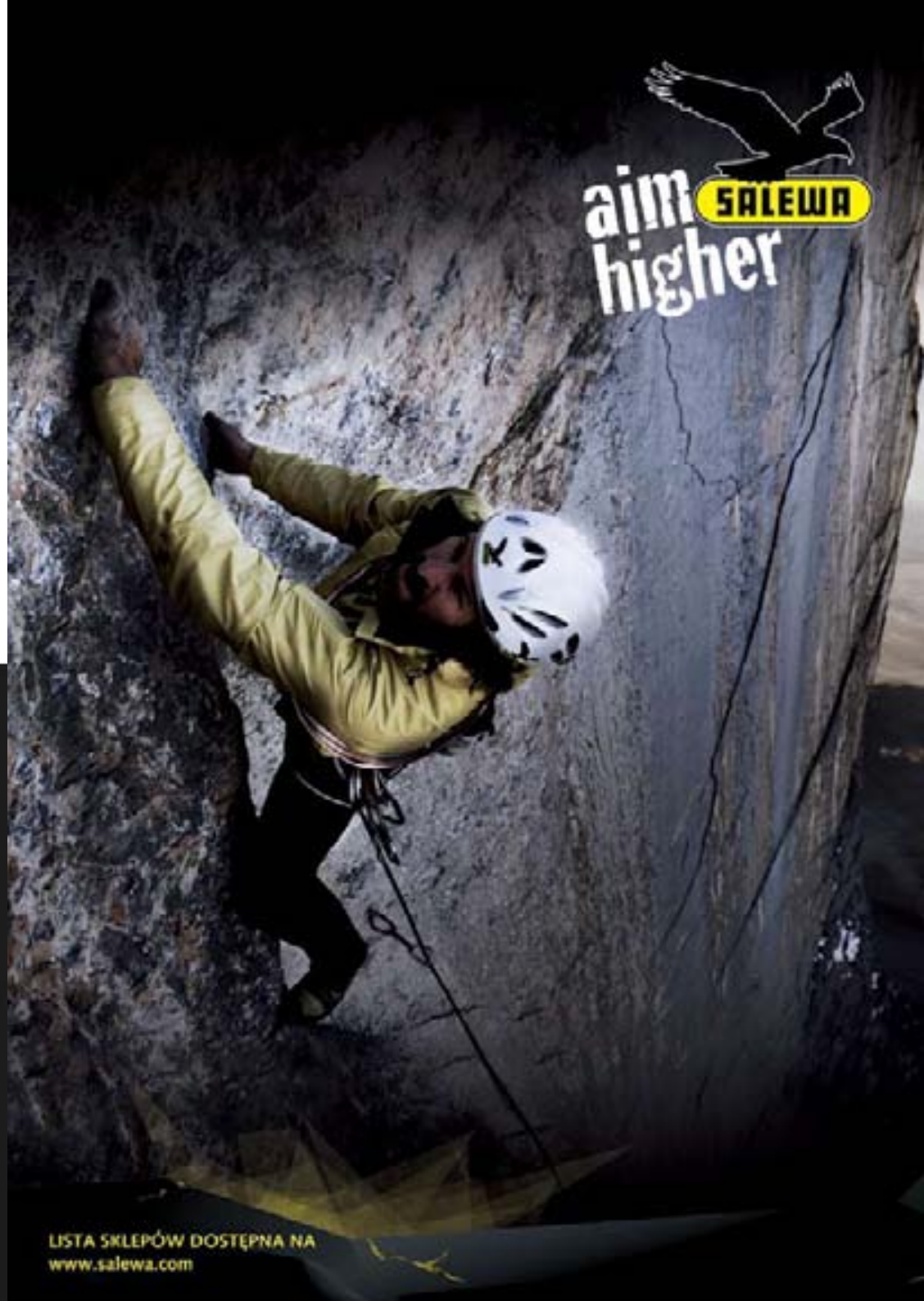
→ **KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE,
W SKAŁKACH I W TATRACH**

42 A/ZERO

Dla członków KW Warszawa 10% zniżki na kursy

0 601 24 29 23
0 501 501666

LISTA SKLEPÓW DOSTĘPNA NA
www.salewa.com



NA DALEKIEJ PÓŁNOCY

Tekst: **Łysy & Koparka**

Zdjęcia: z archiwum TC 4-liga

I. Pomysł

Taras w Podlesiach, kawka z mlekiem o szóstej rano w piękny sierpniowy poranek i myśl: „Może by tak uciec do krainy trolli? Ale z kim? Może samemu?”. No i pojawił się Łysy z pozdrowieniem „jak tam, Jagódka?”. Dalej padło pytanie, czy będzie właściwym partnerem.

Życie pokazało, że okazał się najlepszy. Wzdłuż sierpniowych planów mieliśmy pojechać w trójkę: Koparka, Łysy i Słupek.

II. Trening

Kolejna noc, mroźny styczeń, –22 stopni Celsjusza. Śpię w samochodzie, teraz to już trochę dla treningu przed mroźną Norwegią, choć nie byłby to przecież mój pierwszy biwak w górach zimą... To, że w dupę dostaniemy, jest oczywiste, ale po co teraz? Łysy napisał w nocy sms, że śpi na tarasie przed domem... Rano drugi sms, że dało zimnem od desek, a puchowy śpiwór zmarzł. Pomyślałem, że pogięło go już kompletnie i zrobiło mi się rażniej, nie tylko ja zmarzłem. Przecież u niego było o 2,5 stopnia zimniej. Druga noc też nie była kolorowa... U mnie zimno, a Łysemu córka powiedziała: „Tato, ale w górach nie śpi się na równych deskach, od których jest ciepło, tylko na kamieniach”. I Łysy spędził noc na ogrodowych kamieniach...

Jeszcze dwa miesiące do wyjazdu, a my chyba już pojechaliśmy. Rzeczywistość stała się niemal przyzwyczajeniem. Wróbelku o ładnych oczach i blond włosach, dzięki za wsparcie, jedno trzeźwo myślące istnienie... Słupek nie bierze udziału w treningach, nie daje się nawet na nie namówić, patrzy tylko na nas z politowaniem, myśląc pewnie „Im to już nawet dentysta nie pomoże”.

III ...

Słupek delikatnie oznajmia, że rezygnuje z wyjazdu z niewiadomych przyczyn. Razem z Łysym postanawiamy kontynuować trening, nie zważając na przeszkody.

Łodospad Kopi.

IV. Inwestycje

Kryzys gospodarczy na świecie doprowadza do załamania nerwowego wielu finansistów.

Rekin finansjery – Koparka, znany ze świetnych ruchów biznesowych postanawia zakupić korony norweskie w najwyższym punkcie ich wartości... Okazało się, że lądujemy pod kreską. Na szczęście Łysy inwestuje chwilę wcześniej w dach nad budynkiem gospodarczym niewiadomego przeznaczenia przy swoim domu – być może przyniesie to dochody po powrocie.

V. Start

Podróż rozpoczęliśmy romantycznym poszukiwaniem nowego właściciela maski od Mini Morrisa w okolicach Świnoujścia i szukaniu łańcuchów na koła, które miały dokonać cudów w zwalczaniu nieprzewidzianych przeszkód.

VI. Pierwsze potyczki

Dopływamy promem do Ystad i rozpoczynamy „marsz na północ”. Szwecja wita nas opadami śniegu, posuwamy się wolno do przodu, myśląc, że skoro tu na południu tak pada, to na dalekiej północy najpewniej



Łysy na szczycie z panoramą w tle.



Łysy napiera.

zginie. Norwegia... Bardzo ciężkie warunki na drodze E06 i E136... Słońce przez cały czas razi nas w oczy. Drugiego dnia w południe, 1100 km od Ystad, docieramy do Andalsnes. Jeszcze tylko parę kilometrów zamkniętą drogą do campingu. Droga Trolli 63 jest zamykana na okres zimowy, bo w okolicach przełęczy pod Bispenem jest całkowicie zasypaana tonami śniegu, lodem i lawinami.

VII. Baza

Nasz domek na campingu przeraża nas standardem, postanawiamy chociaż nie myć się codziennie i natychmiast robimy „trollowanie” (dla niewtajemniczonych oznacza to ograniczenie przestrzeni życiowej przez rozłożenie całego sprzętu po obiekcie, najlepiej w widocznym miejscu).

VIII. Dieta

Na bazie przed wspinaniem zapanował głód... Co będziemy jeść? Inwestujemy w smalec z żółtym serem i ząbki kiszzonego czosnku z ogórków przegrzane łyżeczkami czekolady. Dało nam to około 800 kcal na głowę i odruchy wymiotne pod ścianą. Ciągle brzmia mi w uszach słowa Łysego: „Robuś, więcej przekonania”.

IX. Akcja 1

Czwarty dzień pobytu, stoimy pod ścianą oszpejani totalnie w niezliczoną ilość asortymentów wspinaczkowych i odziani szczelnie przed rażącym nas słońcem.

Dalsze dwa dni polegają na wspinaniu, biwakowaniu i schodzeniu z góry... Opowieści o pyłówkach, mrozie, wietrze i niezliczonych ilościach wyciągów pozostawiamy domysłom. Jak było naprawdę, wiemy tylko my.

Kwitujemy to w domku po powrocie krótko – ale mieliśmy szczęście. Podsumowując, wyszło około 32–35 wyciągów. Przy 29. wyciągu Łysy oznajmia, że zrobiłby drugie tyle... Przed moimi oczami świeciły wtedy tylko gwiazdki, więc odpowiedziałem, że ja nie.

X. Wykłady

Zejście ze ściany to zdobywanie zasobu wiedzy na temat lawin. Na pytanie: „Czy nie jest lawiniasto?”, Łysy odpowiadał „Ani przez chwilę, Kopareczko, nie jest lawiniasto”. Tak uspokajając się, dotarliśmy bezpiecznie do doliny.

XI. Choroby tropikalne

Dzień odpoczynkowy równa się bigos i duża ilość toniku zawierającego chininę, naturalne lekarstwo na malarię. Wiadomo wszystkim, że przy tak dużych ilościach słońca choroba rozwija się błyskawicznie.

XII. Akcja 2

Biały, lśniący lodospad, śliczny. Jego dni są policzone, robi się za ciepło. Napieramy na 220 m pionowego lodowego raj. Mało nie tracimy życia... z przegrzania. Na dole już umieramy, ja z pragnienia, Łysy z głodu.

XIII. Akcja 3

Łysy rano oddalił się z nartami na Bispena. W przebraniu rycerza husarii potajemnie się wdarł od tyłu, przybił piątkę z Biskupem i zjechał na nartach. Działo się to w piątek trzynastego... Więcej szczegółów Łysy nie zdradził.

XIV. Akcja 4

Jugosławia... Piękna linia poprowadzona przez mieszkańców wymienionego kraju. 500 m wspinania w terenie 5+/7. Morze skalnych rys, zacięć i okapików. Po 250 m robi się dość chłodno i płyta 7- z brakiem asekuracji betonuje nas na dobrą godzinę. Łysy w końcu naparł, tworząc tajemnicze ustawienia nieznanne Kamasutrze. Na zadane cichym głosem pytanie, czy noga stoi, odpowiadałem jeszcze ciszej: „Nie walnij, bo będziesz miał dwójkę”. Po 300 m skalnego wspinania w kleterkach i rękawiczkach zjeżdżamy.

Stwierdzamy, że dość dziwne te siódemki...

XV. Doświadczenie

Okazało się, że siódemki to ósemki. Od dziś postanawiamy nie ruszać się bez cienkich haków. Poddaliśmy się, więc „ręce do góry, będzie weselej”.

XVI. Akcja 5

Stoimy pod ścianą. Łysy zapomniał kasku, więc teraz sam stoję, a Łysy zasuwa po niego do bazy. Z mapy wynika, że góra ma z 1000 m, więc wspinania będzie z 900 m.

Napieramy nitkami lodowymi i kuluarami śnieżnymi. Po około 12 pełnych wyciągach wychodzimy na pole śnieżne i stwierdzamy, że nie urobiliśmy nawet połowy. A biwak nam nie w głowie. Zresztą nic nie mamy. Tniemy na gumowo do filarka. Intuicja mówi – tam jest łatwo. Wspinamy się rozwiązani po gigantycznym polu śnieżnym z 300–400 m do piku, do-

pełniając formalności ideologicznych – wspinanie w górach równa się pik. Jakiej góry, jeszcze nie wiemy, bo coś nam z mapy nie pasuje. Na piku dech w piersi zatrzymał nasze okrzyki radości. Widok powaliłby nawet antyesteta. Fiordy–fiordy, góry–góry. Na zejściu przez dżunglę norweską doznajemy uczucia zgnojenia. Można krzyżeć co chwilę jak w „Madagaskarze”: „przyroda mnie zaatakowała”.

W bazie ustaliliśmy, że droga przebiega północno-zachodnią wystawą góry Nonshaugen.

XVII. Meta

Pada, pada, pada. Powoli zbieramy się do wyjazdu.

Przez trzy tygodnie pobytu dwa dni padał deszcz, dwa, może trzy dni śnieg.

Temperatury poniżej zera, ale nie kosmicznie, maksymalnie –12, za to prawie cały czas wiało. Wiatr jest chyba wpisany na stałe do kalendarza, ale i do tego można się przyzwyczaić.

Nasze działania wspinaczkowe przebiegały w dolinie Romsdal i Isterdalen w górach Norwegii.

Podczas wyjazdu przeszliśmy północną ścianę Kongena – 1200 m, 34 h (pierwsze polskie przejście zimowe), północno-zachodnią ścianę Nonshaugen – 800 m + ok. 400 m polami śnieżnymi na pik (nowa droga) oraz 220 m lodospadu bez nazwy.

Łysy natomiast samotnie wszedł z nartami na Bispena i zjechał z niego od przełęczy między Kongenem a Bispenem.



W poszukiwaniu zejścia. ☼

WIELKIE DOŚWIADCZENIE



Tekst i zdjęcia: **Piotr Kłosowicz**

– Bonete i Pissis? – zdziwił się strażnik parku.
– Przecież już po sezonie, tam jest dużo śniegu.
– To chyba dobrze? – odparłem. – Jest śnieg, czyli będzie też woda.
– I myślisz, że możesz tam pojechać sam? Dojechałeś tu na tym rowerze, ale jak wjedziesz w Punę? I jeszcze chcesz przejść przez góry do Catamarca? Niby jak?
– No, na rowerze, przecież mówię.
– Ale tam jest wysoko, zimno i nie ma schronisk. I kamienie wielkie. W ogóle, to nie dostaniesz pozwolenia, kto cię potem będzie ratował? Nie możesz jechać.
– To dzwoni po żandarmerię, niech mnie zatrzymają.
– Głupi jesteś – skapitulował wreszcie strażnik i spisał moje dane. – Zobaczysz, że tu zawrócisz.

W głowie strażnika nie mieściło się, że ktoś może być na tyle nieodpowiedzialny, żeby chcieć wejść na sześciotysięcznik bez pomocy agencji, samochodu terenowego i to jeszcze samemu. Widział tam już wielu turystów, ale to było dla niego nowością. Trzymałem przed nim klasę i udawałem, że wiem co robię, ale tak naprawdę zżerała mnie niepewność, jak to będzie.

Puna de Atacama – największe nagromadzenie sześciotysięczników w Ameryce. Niby same powulkaniczne trekkingowe bałuchy, ale za to na pustyni i daleko od cywilizacji. Godziny spędzone nad zdjęciami i Google Earth rozbudzały wyobraźnię, ale nie mogły wyjaśnić, jak to będzie znaleźć się samemu na tym wysokogóskim odludziu.

Najpierw jednak była Aconcagua (6959 m). Do Argentyny wjechałem z Chile na rowerze i na najwyższym andyjskim szczycie zamierzałem się zaaklimatyzować przed następnymi, trudniej dostępnymi górami. A na Aco, wiadomo – pełna cywilizacja, rozbudowane bazy, lekarze, śmigło, muły i masa ludzi. No, może nie taka masa, bo kryzys i końcówka sezonu, ale mimo to ruch był. Dolina Vacas wprowadza mnie do Plaza Argentina – pustoszejącej bazy pod Lodowcem Polaków. Nie śpieszę się specjalnie z wyjściem wyżej, bo i tak wieje, a dla mnie to pierwsze dni na wysokości. I saturację mam beznadziejną. A wyobrażałem sobie, że będę biegał po tej górze – przecież wszyscy mówią, że Aco to łatwizna. Katuję więc



Przełęcz graniczna Christo Redentor (w okolicy Aconcagui).

bazowego slacka i całymi dniami się nawadniam. Kiedy wreszcie dochodzę do dwójki, to wydaje mi się, że następnego dnia wbiję się w lodowiec i będę na szczycie. Jasne...

Po kilku dniach ciągłego wiatru, opadu śniegu i kilku nieudanych próbach przekopania się w górę ostatecznie z żalem porzucam myśl o wejściu lodowcem i trawersuję do dwójki na drogę normalną. I tak nie ma już nikogo po tej stronie góry. Na drodze normalnej też jest tylko jeden zespół, który zresztą także zrezygnował wcześniej z lodowca. Kiedy oni przez dwa dni z rzędu zostają zdmuchnięci podczas prób ataku szczytowego, ja leżę w namiocie i lecę ślepotę śnieżną, której nabawiłem się w trakcie trawersu po utracie okularów. Wreszcie i ten ostatni zespół schodzi, ale zostawiają mi okulary, żebym mógł się bezpiecznie ewakuować następnego dnia po nich. Budzę się o ósmym rano, a tutaj niespodziewanie lampa. Nie po to czekałem tyle dni na tych 5800, żeby teraz nie spróbować. Trochę wieje, ale udaje mi się przetorować na wierzchołek. Zdobywam więc popularny szczyt trekkingowy w stylu alpejsko-obłężniczym – ekstra, nie? Mimo to jakaś tam satysfakcja jest – pewnie jestem jednym z niewielu, którym dane było zaznać samotności na Aco ;-). Z poparzeniami na twarzy i odchudzony o dobre parę kilogramów schodzę do pustoszejącej bazy. A do góry znów w promieniach słońca ciśnię przetrzedzony długim oczekiwaniem tłumek.

📻 Koncertowa przeprawa przez bezdroża Puna de Atacama.



Aklimatyzacja w Plaza Argentina.

I znowu rower, znowu doliny i normalne jedzenie. Kilka dni później zregenerowany stoję w dolinie Rio Colorado i patrzę na południowe stoki Mercedario (6700 m). Trochę mięknie mi rura na widok półtorakilometrowej śnieżno-lodowej rampy, którą prowadzi czekająca na mnie droga. Niby to tylko 45-60 stopni nachylenia, ale od razu na myśl przychodzi mi mój turystyczny czekan i wizja długiego ślizgu aż na czekające u podstawy ściany pole penitentów. Z obozu pod drogą na 4400 m wygląda to wszystko już może nie tak groźnie, ale za to wydaje się jeszcze większe. Zmuszam się nawet do wczesnej (jak na mnie) pobudki i o piątę wbijam się w oddzielające mnie od lodowca penitenty. Godzinę później udaje mi się z nich wypłatać i przechodzę przez szczelinę brzezną. Kolejnych kilka godzin zajmuje przewalanie w wietrze stromej części drogi i nareszcie długie połogie pola śnieżne po-

wyżej 6000 m wyprowadzają mnie o zachodzie słońca na szczyt. Jeszcze tylko ostrożne zejście po odsłoniętym przez nieustający wiatr lodzie, znowu penitenty i po dwudziestu godzinach od wyjścia jestem z powrotem w namiocie. Poszło szybko i sprawnie – odwet na stylu wzięty. I znowu rower, znowu doliny i normalne jedzenie. I widoki.

– Lampka – mówi facet na stacji benzynowej, patrząc na kierownicę mojego ledwo widocznego spod sakw roweru.

– Lampka – potwierdzam.

– Możesz jeździć nocą.

– Mogę, ale nie jeżdżę. – Chociaż w nocy może i lepiej, bo nie tak gorąco – dodaję po chwili namysłu.

– No – tym razem potwierdza on. – Ale w nocy nie można podziwiać krajobrazów! – zauważa po dłuższej ciszy, zadowolony ze swojego cennego spostrzeżenia.

Rozglądamy się obaj po okolicy. Z jednej strony jego stacja benzynowa. Naprzeciwko widać jakieś 20 km szerokiej, wznoszącej się łagodnie pustynnej doliny, a przez jej środek biegnie droga, którą przed chwilą przyjechałem. Po obu stronach doliny w odległości kilku kilometrów wznoszą się wały kruchych, porośniętych kaktusami gór.

– Fakt, bez widoków to nie to samo...

W miejscu, gdzie nie ma nic, trudno zajmować się czymś innym niż podziwianie widoków. Ewentualnie można sobie jeszcze urządzić sjęstę.

Kilkaset kilometrów dalej na północ spotykam mojego zdziwionego strażnika parku...

Kiedy tylko oddałam się z punktu kontroli, znowu powinny ogarnąć mnie wątpliwości co do samotnej przeprawy przez Punę. Ale nie ogarniają – podziwiam krajobrazy. 3000 m wyżej stoję z rowerem pod błękitnym niebem, nad błękitną laguną, po środku rozległej wyżyny, z której wyrastają kopczykowate szczyty przyprószonych śniegiem andyjskich kolosów. Żadnych zerw, seraków, grozy gór wysokich. Tylko wielka przestrzeń. Właściwie na wszystkie szczyty można wejść „drogą warszawską” – tam gdzie wola i ochota. Więc wchodzę – na Bonete Chico (6759 m), i na oba wierzchołki rzadko odwiedzanego od południowej strony Pissis (6795 i 6791 m) – tam, gdzie nie da się podjechać samochodem terenowym, przez co w zasadzie nie notuje się wejść. Potem

Charakterystyczne skały u wylotu żlebu Canaletta (Aconcagua).

tydzień przepycham rower po bezdrożach, żeby znaleźć się po północnej stronie masywu Monte Pissis. A tam znowu błękitna laguna, flamingi, wikunie i zaśnieżone szczyty kolejnych sześcioletnich. Przytłoczony potęgą Puny i brakiem zapasów jedzenia docieram wreszcie do asfaltu i uciekam na parę dni 120 km w dół doliną do najbliższego miasteczka.

Wracam na Punę już tylko po to, żeby wejść od argentyńskiej strony na Ojos del Salado (6893 m) i przez przełęcz Paso San Francisco (4800 m) zjechać do Chile. Tyle jeszcze wielkich gór dookoła, ale już mnie do nich nie ciągnie. Czy w tym bezkresie ma znaczenie to, co jest sto metrów większe, a co mniejsze? Która z tych gór jest warta wejścia na nią, a która nie? Na Ojos wchodzę w cztery dni od asfaltu do asfaltu. Prawdopodobnie nową drogą, ale czy ma to w tym terenie znaczenie? Jakby co, mam już gotową nazwę: *Ruta varsovia-na* :-). Jeszcze tylko przejazd przez wspomnianą przełęcz graniczną i jestem z powrotem w Chile. Ponad tysiąc kilometrów pedalowania później wracam po trzech miesiącach do Santiago de Chile. Pętla zostaje zamknięta – umysł pozostaje otwarty. Jeśli komuś trąci to mistyką, ma rację. Nie wstydzę się tego. Myślę, że każdy, kto był na Punie,

Zejście z Bonete Chico. W tle masyw Monte Pissis.



Obóz drugi na drodze Polaków (Aconcagua).

potwierdzi, że na drugie imię ma ona Wielkie Doświadczenie.

PS.

Podziękowania dla sponsorów wyjazdu – Crosso (sakwy rowerowe), Extrawheel (przyczepki rowerowe) i Spot (komunikatory satelitarne).



STUDENTEM BYĆ...

Tekst i zdjęcia: **Ola Stańczak**

Bycie studentem daje nieskończone możliwości i pozwala realizować nawet najdziwniejsze plany. Dlatego, korzystając z tego wspaniałego okresu w życiu, postanowiłam na kilka miesięcy wyjechać i powspinać się w pomarańczowym wapieniu. Gdy w Warszawie panowała nieciekawa szara pogoda, wskoczyłam do samolotu i udałam się na południowy wschód. Najpierw przez miesiąc wygrzewałam się na Kalymnos, ale w związku z ograniczonymi funduszami, które pod koniec tego czasu były już na wyczerpaniu, postanowiłam przenieść się jeszcze na trzy miesiące do Turcji. Tam załatwiłam sobie darmowe zakwaterowanie i wyżywienie (oraz wszelkiego rodzaju picie też :)) w zamian za trochę pracy na terenie ogródka wspinaczkowego.

Geyikbayiri, rejon wspinaczkowy, o którym mowa, znajduje się na samym południu Turcji nieopodal miasta Antalya. Jego nazwa pochodzi od leżącej tuż obok małej wsi tureckiej i niestety nie jest zbyt chwytliwa. Ale mniejsza o to. Drogi zaczęto objąć pod koniec 2000 roku i do tej pory jest ich już prawie 500. W sumie powstało tu 30 różnych sektorów. Olbrzymią zaletą rejonu jest to, że od jednego sektora do drugiego można się przemieszczać na piechotę. Nie trzeba wsiadać do samochodu ani na skuter (choć jazda skuterem to też całkiem niezła atrakcja). Główna ściana skalna ciągnie się jakieś trzy-cztery kilometry wzdłuż jedynej w zasięgu wzroku drogi. Jeden poziom niżej mamy kolejną długą ścianę, a naprzeciwko niej (po przejściu przez teren campu i małą rzeczkę) kolejny spory sektor. Zatem całe wspinanie jest skoncentrowane na stosunkowo niewielkim terenie.

Znajdzie się tu coś dla każdego: od 4- do 8c w skali francuskiej. Generalnie Turcy używają skali UIAA, ale w nowej wersji przewodnika wspinaczkowego po rejonach Antalyi podano także wszystkie wyceny w skali francuskiej. Przewodnik można kupić na terenie campu. Poza Geyikbayiri zostało tam też opisanych kilka innych mniejszych rejonów, takich jak Olympos i Akyarlar, które również warto odwiedzić. Dobrym pomysłem jest wynajęcie samochodu na taki jednodniowy wypad (koszt to 23 euro za dzień). Można to zrobić na campie Josito, jednym z dwóch campingów dla wspinaczy w Geyikbayiri, prowadzonym przez Niemców i Turków. To właśnie tam zamieszkałam na ponad trzy



Autorka na drodze *Diplomarbeit* 7b w sektorze Trebenna.

miesiące. Oprócz mnie było jeszcze kilka innych osób z różnych krajów (Niemcy, Belgia, Szwajcaria), pracujących na takich samych zasadach, czyli jeden dzień pracy i jeden dzień wolnego na wspinanie. Potem okazało się, że praca jest tylko rano i wieczorem, więc w środku dnia było kilka godzin w sam raz na wspinanie :). Większość pracowników przyjechała, tak jak i ja, bez partnerów wspinaczkowych, więc bez problemu się w tej kwestii dogadaliśmy.

Wspinanie... Spędziłam tu już tyle miesięcy i dalej nie mam dość. Są tu sektory poprzewieszane ze stalaktytami i wspinaniem w dachu. Szczególnie te położone na górnej ścianie o nazwach Sarkit i Magara (czyt. maara) robią wyjątkowe wrażenie. Kilka dróg to super klasyki, np. *Geyikbayiri Games* (7b+), droga, która ciągnie się wzdłuż jednej długiej czarnej tufy; albo *Jah Jah City* (7a+), czyli 40 metrów zróżnicowanego wspinania z tufami na początku i olbrzymim stalaktytem wiszącym w dachu oraz zaskakującej końcówce na krawądkach, z której oczywiście wszyscy wypadają :). Są też sektory z wertykalnym, technicznym wspinaniem, np. *Anatolia*, w którym znajdzie się też trochę tuf (*Power Slave* 7b+; *Turkish Airways* 8a+), lub *Yilan*. Na rozgrzewkę podczas pierwszych dni wspinania nadają się sektory położone koło Josito, czyli na niższej ścianie skalnej, np. *Turkish Standard*, gdzie można znaleźć zarówno drogi techniczne

☞ Bruno na drodze *Quantum Gigantum* 8a w sektorze Guzel Manzara (czyli piękny widok), w tle miasto Antalya.

z krawądkami, jak i trochę przewieszzeń z dużymi chwytami (*Mission to Mars* 6c+). Po drugiej stronie, nie więcej jak 10 minut piechotą od Josito, znajduje się sektor Trebenna, oferujący wspinanie o zupełnie innym charakterze. Skala jest tu raczej biała i szara, spora część dróg ma trudniejszy problem boulderowy. Sektor jest o tyle ciekawy, że biegną tu koło siebie drogi o każdym stopniu trudności. Oferuje wspinanie po bardzo ciekawych i różnicowanych formacjach. Warto spróbować dróg, takich jak *Diplomarbeit* (7b) czy *No Money No Dance* (7c). Znajduje się tu też chyba największa ilość dróg o wycenie 8a i 8b. Sporo wspinania w przewieszeniach i w dachu.

Dla wielbicieli dróg przewieszonych z dużymi chwytami odpowiedni będzie również sektor Alabalik. Ale aby naprawdę się tam dobrze bawić, trzeba chyba polubić „rope drag” i „loose stone”. Ja strasznie tam kłębam, bułując się przy wpinaniu liny to expresów, a wypadanie z dróg razem z dużymi, obluźowanymi chwytami raczej nie jest dla mnie super atrakcją, a co dopiero dla asekuranta... Sektor wymaga nieco czyszczenia i wtedy może się okazać całkiem fajnym miejscem. Jeśli natomiast 8a+ jest w waszym zasięgu, warto się tam wybrać i spróbować drogi o nazwie *Neptunalia*. To jeden z klasyków rejonu.

Rejon Geyikbayiri znajduje się około 500 m n.p.m., więc na szczęście nie ma tam takiej wilgotności powietrza jak w Antalyi. Jest też chłodniej. Najlepsza pogoda na wspinanie zaczyna się, moim zdaniem, w październiku. W zeszłym roku wspiniałam się też tutaj we wrześniu i było znośnie – raczej za gorąco na wspinanie w słońcu przez cały dzień, ale można było znaleźć zacienione sektory. Deszcz teoretycznie powinien popsuć plany wspinaczkowe w okolicach grudnia i stycznia, ale pogoda jest dość nieprzewidywalna i na przykład tej zimy padało tylko kilka dni. W przypadku zbyt wysokich temperatur czy opadów istnieje możliwość wspinania w jaskiniach oraz we wcześniej

wspomnianym sektorze Trebenna, który jako jedyny ma wystawę północną i właściwie jest systemem jaskiń i filarów (jest to jeden z największych sektorów i w razie złej pogody oferuje wspinanie na wiele dni). Pod koniec maja robi się już nieznośnie gorąco i aż do września ciężko jest tu wytrzymać. Dlatego miesiące letnie zdecydowanie odradzam.

W przypadku rezerwacji miejsca w Josito można załatwić sobie transport z lotniska lub dworca autobusowego w Antalyi na camp. Koszt to 40 euro (za samochód). Można też próbować na własną rękę, ale nie jest łatwo i trzeba się kilka razy przesiadać. Jeden autobus i trzy różne minibusy dojeżdżają do wsi Cakirlar (czyt. czakirlar), a stamtąd najłatwiej jest złapać stopa w kierunku wsi Geyikbayiri. Uwaga, aby nie przeoczyć zjazdu z lewo w dół prowadzącego na teren Josito – znajduje się jeszcze przed wsią i oznaczony jest odbłaskowym zielonym napisem. Mimo to zdarza się go nie zauważyć, szczególnie gdy jedzie się wzdłuż wspaniałego pomarańczowego muru skalnego, znajdującego się oczywiście po przeciwnej stronie niż zjazd na camp.

Noclegi na terenie Josito można zarezerwować w namiotach lub domkach. W przypadku tych pierwszych raczej nie ma problemu z dostępnością miejsc, ale domki polecam zarezerwować z wyprzedzeniem. Z rana można wykupić sobie śniadania w przedziale cenowym od 3 do 5 euro, a dla wielbicieli samodzielnego gotowania pozostają kuchenki gazowe, które też można wypożyczyć na campie za 1 euro dziennie. Co wieczór po wspinaniu ludzie spotykają się w barze, w którym można zjeść obiad i wypić piwo (lub coś innego według uznania). Cena posiłku waha się między 7 a 8,5 euro. Piwo 2 euro. Dobra zabawa w barze co wieczór: bezcenna.

Poza campem Josito jest też odrobinę wyżej położony (wzdłuż tej samej drogi w kierunku wsi Geyikbayiri) tzw. camp turecki, który



Sektor Right Cave, w tle widać rejon Trebenna.

w rzeczywistości jest prowadzony głównie przez Holendrów. Nazywa się on Climber's Garden. Jest mniejszy, nie serwuje się tam jedzenia i nie ma baru, ale za to jest dostępna dla wszystkich kuchnia i jadalnia. Zakupy można zrobić w marketach w Cakirlar albo w Antalyi. Climber's Garden ma zupełnie inną atmosferę niż Josito. Jest tam raczej spokojnie i jeśli nie mamy ochoty za bardzo imprezować, a raczej naszym celem jest relaks i odespanie ciężkich dni pracy, to będzie to lepszy wybór. A jeśli nie lubimy gotować, przy wyjściu z campu mały bar prowadzi rodzina turecka.

W środku sezonu, gdy oba campy są już całkiem zapchane, istnieje możliwość wynajęcia pokoju we wsi Geyikbayiri albo w Antalyi.

W dni restowe na pewno warto zobaczyć stare miasto w Antalyi albo wybrać się tam na plażę – o ile ktoś lubi takie atrakcje. Można też usiąść w jednej z kafejek lub pubów znajdujących się wzdłuż wybrzeża albo zjeść tradycyjne tureckie

danie w jednej z wielu restauracji (polecam „Güneyliler”). Problemów żołądkowych związanych z tutejszą kuchnią nigdy nie miałam, a wodę piję prosto z kranu – tak jak wszyscy. Nie ma się co obawiać.

A skoro już jesteśmy w Turcji, to warto wybrać się do słynnego tureckiego hamam i odprężyć w saunach, jacuzzi, a przede wszystkim podczas masażu w olejkach, pianie i innych temu podobnych. Plus peeling całego ciała... i to wszystko za naprawdę śmiesznie małe pieniądze.

Jest także parę możliwości trekkingowych: krótkich – kilkugodzinnych, do ruin antycznego miasta położonych niedaleko Josito, oraz dłuższych – powiedzmy, całodniowych, na szczyty otaczających gór. Co kto lubi.

Spędziłam w Geyikbayiri kilka miesięcy i jak dotąd się nie nudzę. Szczegrze polecam, bo miejsce na wyjazdy wspinaczkowe jest świetne, a dodatkową atrakcją jest egzotyka samej Turcji. Zapraszam!



Sektor Geyikbayiri (horni steny).

DŹEKI CZAN

Tekst: Paweł „Dr Know” Olendzki



DRUGIE MIEJSCE
W KONKURSIE LITERACKIM
NA NAJLEPSZE GÓRSKIE SHORT-STORY

Powiedzmy sobie szczerze – dzień w górach bez wajchy, zwłaszcza zimą, jest dniem straconym. Co komu po sytych ruchach, skoro gładko przyszły...

Wielkosobotni poranek przywitał nas podejrzenie dużą ilością świeżego śniegu. Cóż, miał być Kocioł, będzie Kamień. Może to i zwykle dupodajstwo, ale po piątym przeżegnaniu na krótkim przecież podejściu wątpliwości co do słuszności wyboru mijają. Mniej prestiżowe miejsce, ale trudności mają być zacniejsze – siedem minus. Słyszę głosy w głowie. Słyszę też inne – spoko, spoko, damy radę. Te akurat zza pleców, od partnera – dodają otuchy, a jakże. Z drugiej strony brzmią trochę jak wyrok, bo, tak jak przypuszczałem, fama po tegorocznym memoriale skazywała mnie na sukces poprowadzenia trudności.

Dochodzę na stan przed kruxem. Wygodny jest. Widzę, że Wojtuś się rozsiadł, wszystko założone poprawnie, co cieszy, bo pierwszy raz się razem wspinamy w górach (w skałach się sprawdzał, osobowościowo mi pasuje i co najważniejsze – jest dzielny). Patrzymy: hoho, jakież cudne zacięcie skalne nad nami, z rysą – wygląda na bardzo trudne.

Dobra, dobra, myślę, nie takie zacięcia u mnie w kamieniołomie się wędkowało tej zimy. Ale zaraz mnie naszło, że nie jesteśmy u mnie w kamieniołomie, tu wędkować nie będziemy. Z lewej wygląda łatwiej – Wojtuś reklamuje, wymachuje schematem, a tam wyraźnie zaznaczone zacięcie, tyle że droga je mija, z lewej właśnie! Patrząc na ten właściwy przebieg. Faktycznie, niby łatwiej wygląda, ale jakoś tak się przewiesza, i nad łufę trzeba tam wypiąć dupsko, co mnie specjalnie nie cieszy. Jeszcze raz się upewniam, oglądam to miejsce na schemacie – nie ma rady, tamtędy. Nie przyszliśmy tu przecież tworzyć nowych wariantów, tylko sprawdzić się na wycenionych odcinkach. Zatem czas na taktykę. Wybieram *light and fast*, czyli redukcję obciążenia szpejarki. Złom kaziowy waży sporo, więc większość haków i igieł zostaje na stanie.

Najchętniej bym się jeszcze wysrał do kompletu, ale akurat organizm nie potrzebuje.

Głębszy oddech, sprzężenie. Znacie to – pach, pach, pach z *Kingsajzu*, i już się wpasowuję. Paszczę pisal, że asekuracja wymienita, i faktycznie – na pierwszych metrach tkam gęsto, a co przelot to lepszy. W tym szale biorę nieuważnie dziabkę nad liną i w trudnościach mam agrafkę z lonży. Wiedziałem, wiedziałem, że coś się spierdzieli, za dobrze szło! Nerwowo się wyplątuje i jeszcze bardziej nerwowo napieram w górę – i pac, oczywiście w dół. Od razu mi ulżyło – wszystko zadziało idealnie i czeluść nie wessała. Cofam się i wypinam – wszak styl jest najważniejszy. A na dodatek Blondas – król stylu – siedzi w schronie i jeszcze mnie będzie z RK rozliczał – a wiadomo RK to teraz AF, a już słyszałem, że od AF to i TR lepsze.

Drugie podejście. Tym razem już tylko młotek – oczywiście na wyjściu z trudności – zsunął się z pleców, zadyndał na repie i zahaczył. Standardowe „luzu! – masz luz! – aaa, to młotek!” i jestem na śniegach pod Ślicznym Zacięciem. Kapkę odsapnąłem i do góry. Teren piątkowy, wielkiej urody, asekuracja bardzo dobra, długie sięgnięcia. Aż szkoda, że tak szybko się kończy. A kończy się taką wyrwą



Wbitka w Bruce'a. Fot.: Jacek Kierzkowski.

Trudności na Bruce Lee. Napiera Tomek K. Fot.: Jacek Kierzkowski.



Warunki dalekie od idealnych. Fot.: Jacek Kierzkowski.

pod ścianką, więc trzeba wyjść na którąś ze stron, ale którą? Prawa strona zaśnieżona, na krawędzi jakieś rachityczne drzewko. Po lewej jakoś tak skalniej do końca, na półkę, nie widać jaką, ale intuicja mnie tam pcha – wrzucam kosteczkę i wychodzę w lewo.

A tam śniegu w wuj. Macam w zaspie, znajduję jakiś dziobek, odkurzam. Dziobek dupny, pętelki nie zarzucę, ale dupny dosłownie, bo z rowem w środku. Popukałem – ładnie brzmi, więc dobra nasza, coś w niego wsadzimy. Patrzę na szpejarkę... i pewnie bym coś wsadził, gdyby było co. Od tej wyśmienitej asekuracji zostało niewiele – jakiś ekspres, malutki mechanik, dwie rynny, lyżka i igła. Przymierzam – nic nie siada. Zachciało się ciociowi lajt en fasta... Miałbym igły, tobym półkę naszpikował i miał fajrant. Rozglądam się – w prawo do drzewka ze trzy metry z przekrokiem nad wyrwą. Nie ma mowy, nie po to wyszedłem z zacięcia, żeby tam wpaść! Jakież cztery metry w lewo jakaś choineczka wątpliwej kondyty, tyle, że trzeba zejść dwa metry w dół. Tym bardziej nie ma mowy. W takim śniegu luźnym to ja w dół chodzić nie będę! Schemat, gdzie jest schemat! A jakże – u Wojtka na stanie... No dobra, to jego – ale gdzie mój? Przecież

mieliśmy po jednym na łeb. Macam kieszenie – bryndza. Został w kłapie plecaka na stanie. No to jestem w dupie – coś mi majaczy, że tu wypada stan, ale z pustej szpejarki to i Salomon nie należy.

Zaczynam się szamotać po półce i nagle... Tu mała dygresja – na pewno pamiętacie tę scenę z *Pulp Fiction*, jak Butch (Bruce – *no men omen*) miota się po sklepie w poszukiwaniu broni godnej sytuacji. Chwyta po kolei różne instrumenty, aż podnosi głowę i doznaje oświecenia, gdy widzi katanę. Także i ja uniosłem głowę, i doznałem iluminacji – pięć-sześć metrów nade mną, w ponurej przewieszzonej ścianie, zakończony grzywką traw, zobaczyłem światło w tunelu – jest! Jest odstrzelony flejk! Jak nic na moje rynny – a hoho, może i nawet opasam go taśmą? Szybka konsultacja przez radjko, ile mamy liny, i już z werwą tłukę igłę przed startem. Siadła do połowy. Dobra, dobra, myślę – to tylko parę metrów. Skracam i napieram – parę ruchów i będę w domciu. A tu rzetelny pion się zrobił – nic to, byle do tych dwóch kęp pod flejkiem. Pierwsza nieco gówniana, ale ostrze jakoś siedzi, zginam rękę, byle do góry – i ciach!

Co to do wuja?! Zamiast krzepkiej kępy jakaś kupa suchego mchu?! Ostrze czesze toto jak koński ogon. Nerwowo grzebię głębiej, ale cały czas przelatuje. Lewa ręka się nuży. Co gorsza, zabita dziabka zaczyna się ruszać. Cztery metry niżej wesoło wystaje igielka. Prawą wywijam bezskutecznie... Nieubłagane nadchodzi koniec, ale jeszcze myślę – trzeba się cofnąć i to szybko. Krzycze: wybieraj! schodzę!

Nie usłyszał... A ja zamiast zejść, lecę beładnie w tył, jak szmata...

Łąduję i patrzę jaka sytuacja – lina luźno do igły. Jestem dwa metry poniżej niej, koło tego lewego drzewka, nóżki na baczność wbite w półkę, kolanka razem (mówiła Matka Siostrze – „ściskaj kolanka, nie będzie manka”), lekko ugięte, dziabki zabite w śnieg jak od linijki. Generalnie, idealna startowa pozycja

wspinaczkowa, normalnie jak w blokach na bieżni. Tylko stopera brakuje!

Pierwsza myśl – lina nieobciążona – jest styl!

Druga – jakie zajebyte drzewo! Idealne! Co ja od niego chciałem – będzie dobry stan! Robię auto i informuję partnera, a tam w radjku: skąd tyle luzu się wzięło, he? Jak to skąd? Cofnąłem się!

A dalej to już bez historii. Przychodzi Wojtuś, zasiada jak kura na grzędzie przy igielce powyżej. Mamy jednak gotowy wysył, przekazujemy sobie pocztą taśmową sprzęt. Wyciąga schemat i wszystko się wyjaśnia – z zacięcia jednak w prawo. Startuje, certoli się chwilę z przekrokiem nad wyrwą. „Może byś skoczył, co? – judzę – skacz!”; „A goń się! Było skakać jak miałeś okazję!”. Prowadzi ostatnie spiętrzenie. Znaczący najpierw próbuje zrobić

Fot. Tomek Czopowicz.

je technicznie, że niby nóżkę dobrze wstawi, po czym stwierdza, że tu trzeba pociągnąć, co gładko czyni, i parę minut później ściąga mnie na plato do kamsztoru na herbatkę i papieroska. Na drugiego – a jakże – skoczyłem.



Stan na drodze Bruce Lee. Fot.: Jacek Kierzkowski.



Do 48 godzin

Tekst: **Grażyna Cieplińska**

**TRZECIE MIEJSCE
W KONKURSIE LITERACKIM
NA NAJLEPSZE GÓRSKIE SHORT-STORY**

Fot. Dominik Cysewski.

Dziesięć lat temu urządzałam jednodniowe wypady w Tatry. Miałam 650 kilometrów do punktu wejścia w którykolwiek ze szlaków. Później moje wyjazdy stały się coraz dłuższe i bardziej komfortowe. Dziś, gdy na podróże mam mniej pieniędzy, postanowiłam wskrzesić dawny zwyczaj – wszak duch we mnie nie zginął. Kilka miesięcy wcześniej kupiłam kamerę, a za jedyny godny rejestracji obraz uznałam góry. W swojej kolekcji posiadam dwa profesjonalne filmy o polskich Tatrach. Brakowało mi choćby migawki na temat Hali Gąsienicowej i Doliny Pięciu Stawów Polskich.

Po niemal tropikalnym lipcu 2006 roku nadszedł deszczowy sierpień. Codzienne śledzenie prognozy pogody dla Zakopanego doprowadziło w końcu do ustalenia daty wycieczki. Długość (czy raczej „krótkość”) wyjazdu ułatwiała decyzję. Wyruszyłam 15

sierpnia. Jak zwykle – pociągiem osobowym z Pily do Poznania, a dalej pośpiesznym do Zakopanego. Najlepszym momentem w podróży był ten, gdy skład opuszczał Nowy Targ i zaczynał wspinać się – niemal bez wysiłku – na południe. Zatopione w gęstych mgłach miasto wśród zalanych słońcem Gorców przypominało krater wygasłego wulkanu. Takiego widoku nie da się zapomnieć.

Była 7:30, gdy pociąg wtoczył się na stację w Zakopanem. Od tego momentu zaczął się wyścig z czasem. Między toaletą a przechowalnią bagażu znalazłam chwilę na ciepłe śniadanie.

W restauracji dworcowej nie było wielu osób. Większość z nich stanowili zbici w grupkę kierowcy busów. Gdy byłam zajęta konsumpcją jajeczniczy, docierały do mnie strzępy rozmowy – ktoś prosił o pieniądze, ktoś inny odpowie-

dział: Idź do tamtej kobiety. Widać po niej kasę. Oszołomiona piętnastoma godzinami w podróży, puściłam to mimo uszu. Po chwili przy moim stoliku stanął młody mężczyzna o fizjonomii odwiecznych mieszkańców Podhala i wypalił stanowczo: Niech mi pani da złotówkę, brakuje mi do kielbasy!

Zakamuflowanie portfela zabrało mi tyle czasu, że ponowne jego wydobywanie mogło trwać zbyt długo. Odparowałam jednak, że nie mogę pomóc, bo sama mam bardzo mało pieniędzy. Facet nie dał się przekonać i nalegał dalej. Nie tłumaczyłam się już, ale zapytałam równie stanowczo: „Pozwoli mi pan zjeść?!”. On na to: „Nie pozwolę!”. Odwrócił się jednak na pięcie i skierował do wyjścia. Przy drzwiach rzucił jeszcze pod moim adresem kilka niecenzuralnych słów. Nie wiem, jak zachowałabym się w innych warunkach, ale nie było czasu na kolejną reakcję. Wiem natomiast, że obcesowość pod moim adresem nie popłaca. Wprawdzie nie należy generalizować, lecz chciało by się powiedzieć: Cóż... Zakopane. Jak na ironię, to nie w górach, ale nad morzem przyjmują mnie lepiej. Być może w obu przypadkach zachodzi zjawisko pewnego rodzaju patriotyzmu lokalnego.

Wędrówkę i filmowanie rozpoczęłam w Kuźnicach o 8:40. Pierwsze kadry objęły wody Bystrzy i fragmenty Nosala, a dalej Doliny Jaworzynka. Niał chodzę najczęściej, gdy zmierzam na Hala Gąsienicową. Droga żółtym szlakiem, moim zdaniem, jest ciekawsza, bardziej urozmaicona. Jak na osobę nie w pełni zaaklimatyzowaną poradziłam sobie z nią lepiej niż kiedykolwiek. Z Przełęczy między Kopami panoramowałam Podhale oraz pierwsze widoczne szczyty z otoczenia Hali Gąsienicowej. Z tego miejsca spowite lekką mgiełką wyglądały czasami jak duchy tych samych gór.

Potem Hala z jej uroczymi szalasami. Zbliżenie na Kasprowy Wierch, Orlą Perć, kolejna panorama. Szkoda, że najpiękniejsze ujęcia wychodzą pod słońce.

Po krótkiej przerwie w Murowańcu obrałam kierunek: Hala Pańszczyca – pierwsze novum tego dnia.

Jedną ze wspanialszych rzeczy w Tatrach jest ich szata roślinna. Olbrzymie świerki, które na początku lata urzekają zapachem. Połacie kosodrzewiny, dające poczucie bezpieczeństwa i odsłaniające drapieżne turnie. Krocie szemrzących strumyków lub grzmiających wodosпадów.

Chciałam z tego zabrać jak najwięcej ze sobą, choćby na taśmie filmowej.

Żółty szlak przywiódł mnie do Czerwonego Stawu. Stąd była już niedaleka droga na Krzyżne, a ludzi przede mną zaczęło przybywać. Był to bowiem ten moment, w którym dogoniłam maruderów. Kolejny powód do dumy? Raczej uświadomienie sobie orzeźwiającej mocy górskiego powietrza. Ostatnia prosta na przełęcz była świetna. Krajobraz mało przyjazny, ale taki lubię najbardziej. Usłyszałam nawet krzyk orla – tak mi się wydaje – potem krakanie, bez cienia wątpliwości. Ktoś z Orlej Perci strącił głaz – zeszła lawinka kamieni. Spacer dobiegał końca. Tłumek z każdym metrem gęstniał coraz bardziej. W miejscu, w którym należało użyć rąk, dopadł mnie mały kryzys (nieunikniony po nieprzespanej nocy). Nawet jednak w takich sytuacjach nie lubię, gdy ktoś mówi mi, jak mam po tych górach chodzić.



Fot. Dominik Cysewski.

Po perturbacjach z turystami, którzy „sie-
dzieli mi na ogonie” obrałam właściwy dla
siebie wariant trasy. I tak o godzinie 15 osią-
gnęłam Krzyżne.

Jak piszą w przewodnikach i twierdzą ją,
panorama z tego miejsca jest fantastyczna.
Kamera znowu poszła w ruch.

Tę przełęcz wyraźnie ukochał wiatr. Z pew-
nością współ z nieubłagany czasem pchnął
mnie na żółty szlak do Doliny Pięciu Stawów.
Poniżej siodła trasa jest piarzysta, co daje
się we znaki stawom kolanowym. Moje, gdyż
pochodzę z bagien, są już z natury niezbyt
zdrowe. Ale nic to, skoro się weszło, trzeba
też i zejść. Początkowo planowałam zajrzeć
na Rusinową Polanę, by kupić tam świeży
ser, lecz z każdym kwadransiem stawało się
to mniej prawdopodobne. Co kawałek zatrzy-
mywałam się, by dokręcić kolejne kadry. Kie-
dy dotarłam do brzegu Wielkiego Stawu, nie
było nawet czasu, by wstąpić do schroniska.
Poszłam wzdłuż wodospadu Sikława. Okaza-
ło się to korzystne dla filmu, zdobyłam kilka
cennych ujęć. Na jednym z nich widać wyraź-
nie, że skała pomiędzy dwoma strugami wody
przypomina pysk szympansa.

Jednak potem zejście jedną z moich ulu-
bionych dolin – Roztoki, mimo jej łagodnego
nachylenia okazało się prawdziwą gehenną.
Każdy krok był jak wbijanie gwoździ w kolana.
Ponadto świadomość, że o 20:30 ma odjechać
mój pociąg psuła ostatnie chwile wycieczki.

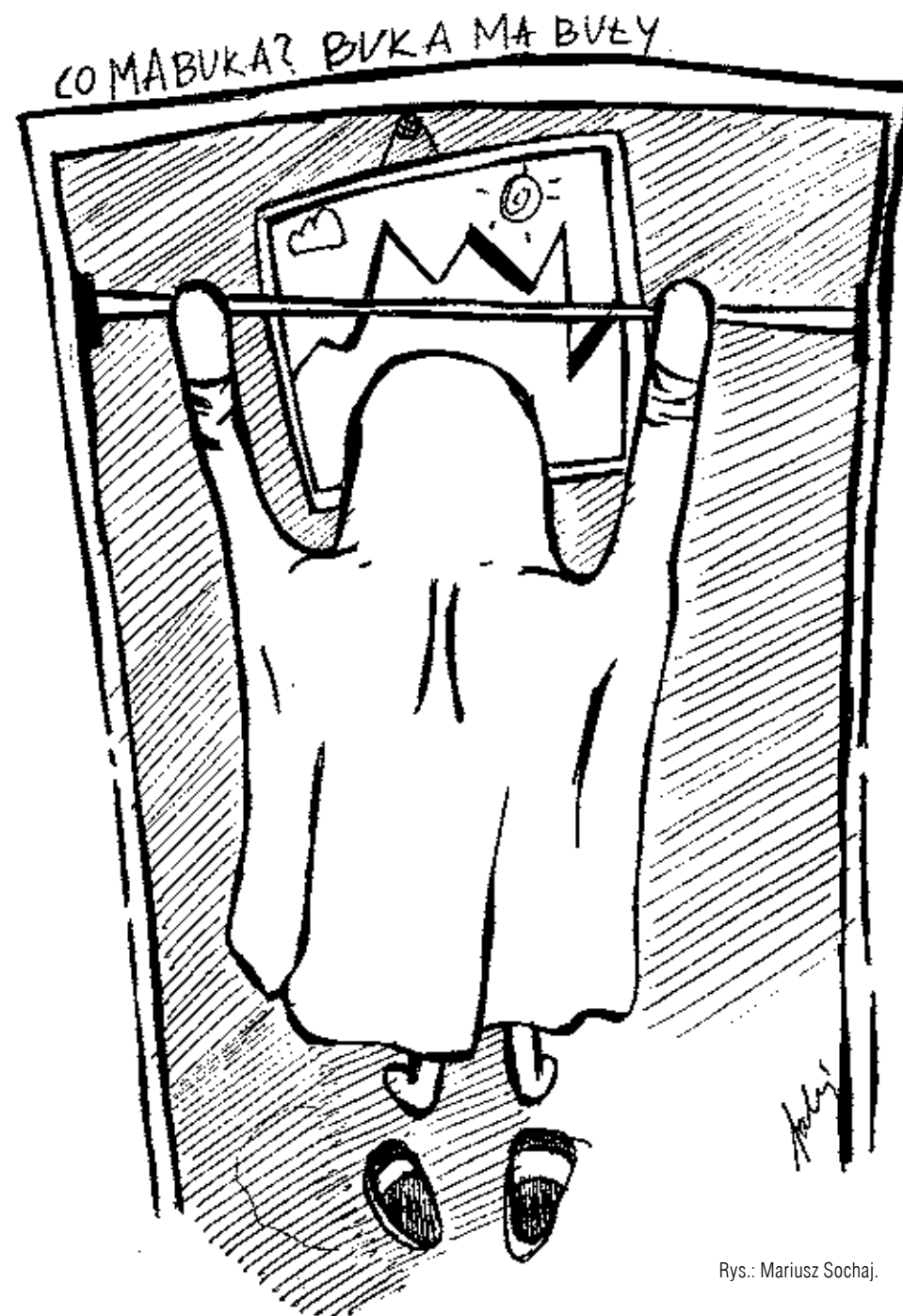
Fot.: Dominik Cysewski.

Nie pamiętam już, jakie inne refleksje towa-
rzyszyły mi w drodze w dół, lecz gdy dotarłam
do Palenicy Białczańskiej, pomyślałam – jak
zwykle – że opuszczając góry zostawia się to,
co w nich najcenniejsze – naturę. Nawet naj-
cudowniejsze miasto nie jest w stanie jej do-
równać. Po powrocie do Zakopanego ruszy-
łam w pogoń za oscypkiem. Było to zadanie
powierzone mi przez rodzinę (żeby był z tego
wyjazdu jakiś pożytek).

Gdy wsiadłam do pociągu w kierunku Po-
znania, stało się jasne, że podróż będzie raczej
wygodna. Mało kto wracał do domu w środku
długiego weekendu. Kiedy pociąg ruszył po-
czułam, że już tęsknię za tymi górami. Pożeg-
nałam je na stojąco.

Do końca trasy cały przedział miałam dla
siebie. Nareszcie można było się wyspać. Dra-
matycznym momentem w podróży powrotnej
było znalezienie się na nizinach, a wysiadka
o ósmej w Poznaniu to symboliczny gwóźdź
do trumny. Do domu miałam już tylko sto ki-
lometrów. W końcu pojawił się kolejny pociąg
i mnie tam zawiózł.

Na dworcu w Pile byłam przed południem.
I to był już prawdziwy... koniec. Zmieściłam
się w 48 godzinach (nie pierwszy raz w życiu),
nawet na filmie widać, że mi się śpieszyło.
Tylko, że ten wyjazd nie był już taki, jak owe
sprzed lat, gdy samo Zakopane wydawało się
być miejscem magicznym. Widać i od „zako-
pianiny” można się uniezależnić.



Rys.: Mariusz Sochaj.

Zima 2008/2009 nie należała z pewnością do udanych, pod względem pogody był to jeden z najgorszych sezonów w ostatnich latach. Pomimo tego jednak, w Morskim Oku dokonano kilku wartościowych przejść, większość przy okazji polsko-słoweńskiego obozu. Nie po raz pierwszy okazało się, że nie ma jak zdrowy sportowy doping, który zawsze pojawia się na wspólnych wyjazdach. Toteż pomimo fatalnych warunków, pod dyktando Staszka Piecucha, napierano dzień w dzień. Staszek zasłużył sobie nawet na miano „the Tank” ze względu na swój bezkompromisowy styl napierania. Podobno koledzy Słoweńcy skarżyli się półgębkiem, że wywiera on na nich zbyt dużą presję, i że w takich warunkach to normalnie by się nie wspinali...

To właśnie Stachowi i Pawłowi Kopcie przypadł laur największego osiągnięcia, jakim bez wątpienia było pierwsze klasyczne pokonanie całości *Innomnaty*. Trudne warunki, świetny styl i bardzo dobry czas stawiają to przejście wśród wybijających się w ostatnich sezonach, zwłaszcza że trudności drogi zostały wycenione na ok. M8. Co jeszcze istotniejsze, wyciągów w pobliżu tego stopnia jest na drodze aż trzy.

Wspomnieć też trzeba o onsajtowym odhaczeniu *Wariantu Stefki* do *Hobrzańskiego* (Marcin Książak), co spowodowało, że droga ta jest obecnie pierwszym kandydatem do przejścia klasycznego – do usunięcia pozostało tylko A0 na trawersie po płycie.

Przy okazji niejako okazało się, że zdaniem doświadczonych w stosowaniu skali M Słoweńców nasze wyceny morskoocenne odpowiadają tejże skali, co niejako położyło kres wielu rozterkom dotyczącym tego, czy aby nasze wyceny nie są niedoszacowane. Mamy więc w Moku z powrotem skalę M, natomiast w Tatrach Zachodnich, jak się zdaje, funkcjonuje w większości przesunięta o pół stopnia w górę skala tatrzańska o ponad 20-letniej tradycji. Dobrze to czy nie – to już inna sprawa, ale przynajmniej teraz mamy jasność.

W związku ze złymi warunkami obłężenie przeżywały oczywiście Bula i Plecy – powstał cały repertuar nowych dróg (także za sprawą naszych klubowiczów) w tym niektóre bardzo trudne. Wypada się cieszyć – wszak ogródek do treningu „narzędziówki” jest to wyśmienity.

Fot.: Przemysław Maliszewski.

W Tatrach Zachodnich można odnotować wytyczenie nowej drogi na Filarze Wolfa o nazwie *Dervisz i Anioł*, na Słowacji natomiast sporo powspinali się szczególnie Magda Drózd i Adam Ryś. Warte odnotowania jest także „prawie klasyczne” przejście *Sprężyny* na Małym Młynarzu – drogi dłuższej i rzadko zimą pokonywanej.

Wykaz Przejść Polska

Morskie oko

Kocioł Kazalnicy:

- **Długosz-Popko** M7- OS, Krzysztof Banasik i Maciek Klein, 10.01.2009
- **Długosz-Popko** M7- Andrzej Biborski i Stefan Siekanka, 17.01.2009
- **Orzeł z Epiru** M6+ OS, Karol Dąbrowski, Adam Ryś i Bartek Sokołowski, 17.01.2009
- **Cień Wielkiej Góry** M6 Agnieszka Tarasińska i Przemek Bucharowski, 18.01.2009
- **Cień Wielkiej Góry** M6 OS 3 h, Adam Ryś i Adam Zalesko, 01.2009
- **Cień Wielkiej Góry** M6 OS 5 h, Alek Barszczewski i Kuba Matuszewski, 02.2009
- **Cień Wielkiej Góry** V+ A0 4.5 h, Jacek Kierzkowski i Ryszard Kuzdrowski, 02.2009
- **Innomnata** M8 OS 12h (pierwsze przejście zimowo-klasyczne), Staszek Piecuch i Paweł Kopta, 9.02.2009
- **Długosz-Popko** V+ A0 10h, Wojtek Kozub i Bartek Sokołowski, 9.02.2009
- **Parada Jedynek** V+ A0 10h, Adam Pieprzycki i Adam Ryś, 9.02.2009
- **Uskok Laborantów** M8- OS 10h, D. Debeljak i A. Jeglić, 09.02.2009
- **Orzeł z Epiru** M6+ OS 5.5h, T. Cuder, B. Ortar i Andrzej Sokołowski, 10.02.2009
- **Długosz-Popko** M7- OS 9h, T. Jereb, A. Tratnik i M. Żupin, 10.02.2009

- **Hobrzański** (3 wyciągi OS, dalej **Długosz-Popko** RP) M7+ 10h, Krzysiek Banasik, Maciek Ciesielski i Marcin Książak, 10.02.2009
- **Droga Skłodowskiego** M5 OS 4.5 h, Jacek Kierzkowski i Ryszard Kuzdrowski, 03.2009
- **Mięguszowiecki Szczyt Wielki:**
- **Pn-wsch Filar** V+ Adam Ryś i Adam Zalesko, 10-11.01.2009

Czołówka MSW:

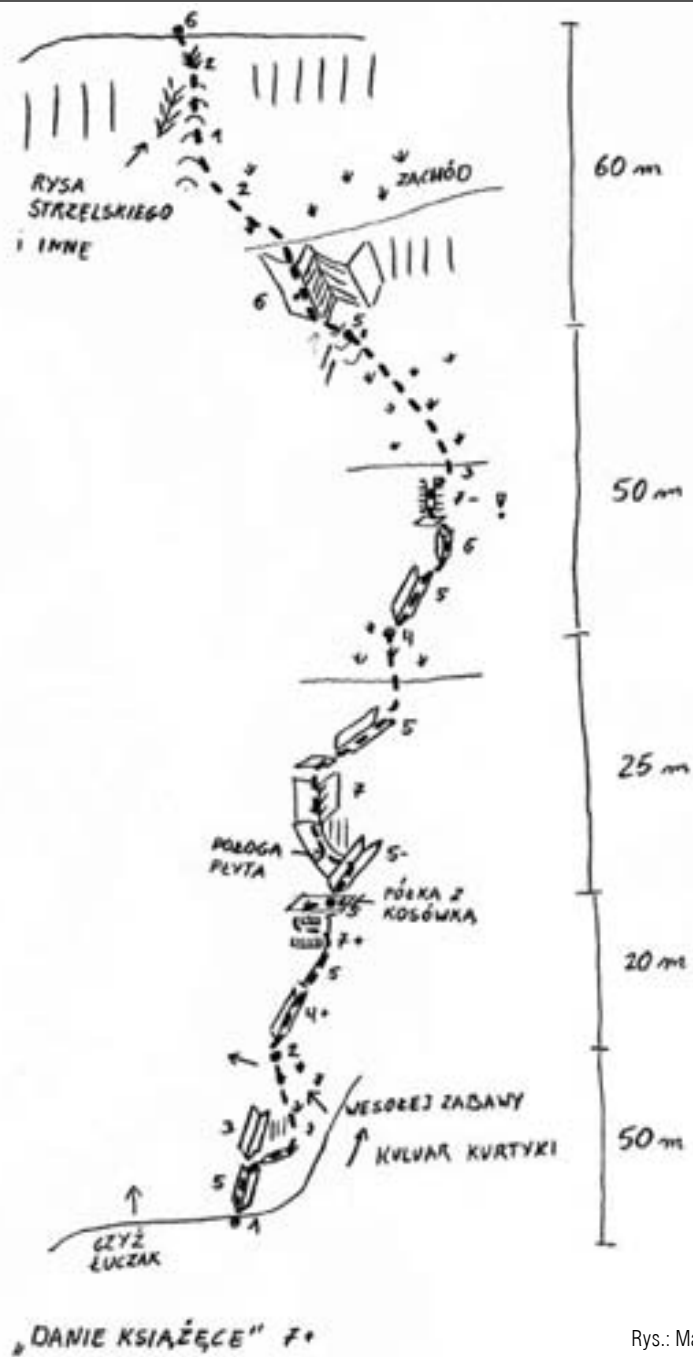
- **Starek-Uchmański** M7 OS, D. Debeljak i A. Jeglić, 07.02.2009
- **Starek-Uchmański** M7 OS, Maciek Ciesielski i Marcin Książak, 07.02.2009
- **Szare Zacięcie** V+ A0 5.5h, Adam Ryś i Bartek Sokołowski, 7.02.2009
- **Szare Zacięcie** V+ A0 5.5h, Krzysiek Banasik i Wojtek Kozub, 7.02.2009
- **Starek-Uchmański** V+ A0 6.5h, Kuba Hornowski i Wojtek Kozub, 11.02.2009
- **Szare Zacięcie z wariantem prostującym** M7 OS 6h, D. Debeljak i A. Jeglić, 11.02.2009
- **Szare Zacięcie z wariantem prostującym** M7 5.5h, Paweł Kopta i Staszek Piecuch, 12.02.2009
- **Szare Zacięcie z wariantem prostującym** M7 5.5h, Maciek Ciesielski i Marcin Książak, 12.02.2009

Kazalnica Cubryńska:

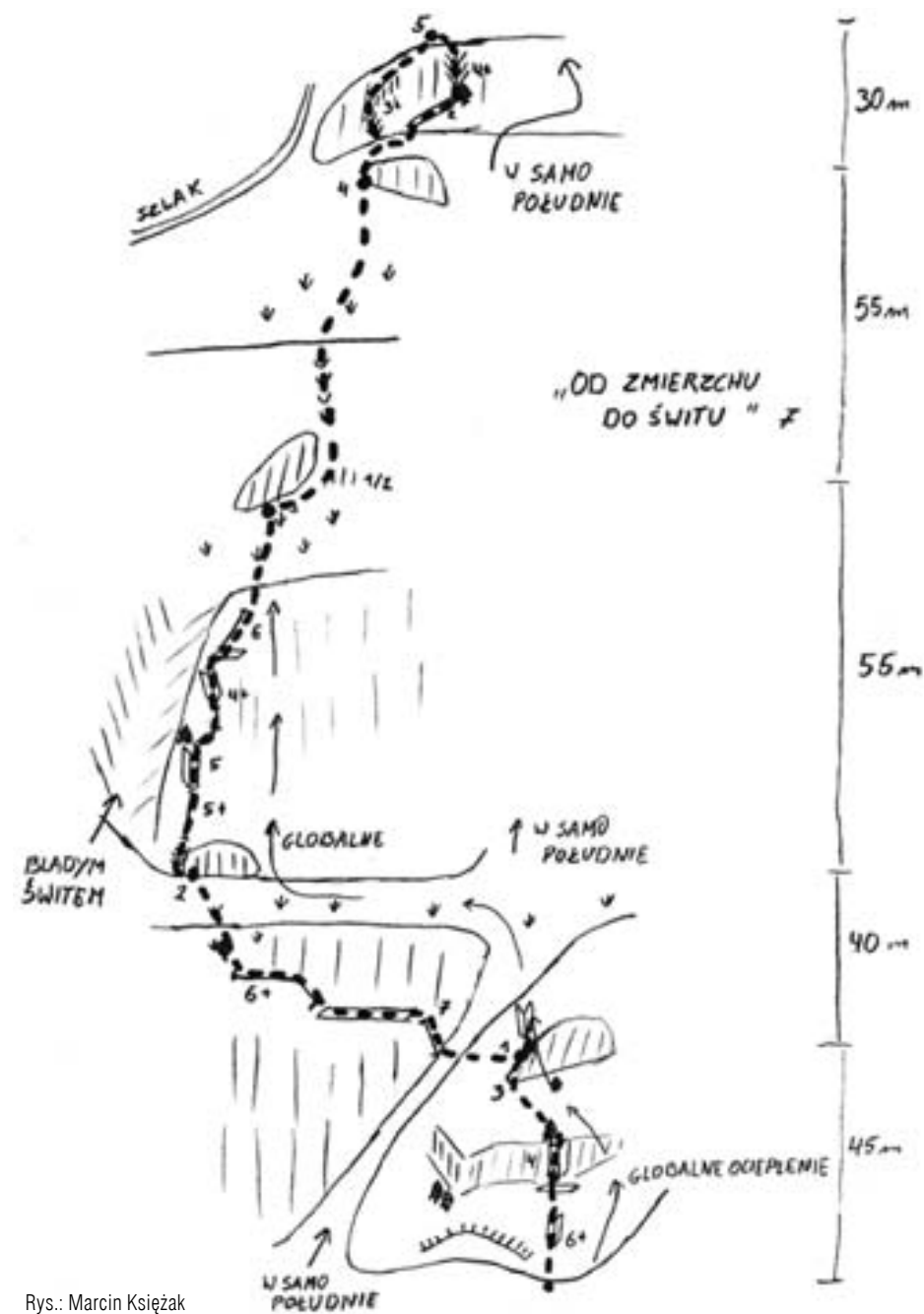
- **Jagiello-Roj** M5 OS, Karol Dąbrowski i Paweł Olendzki, 01.2009

Próg Dolinki za Mnichem:

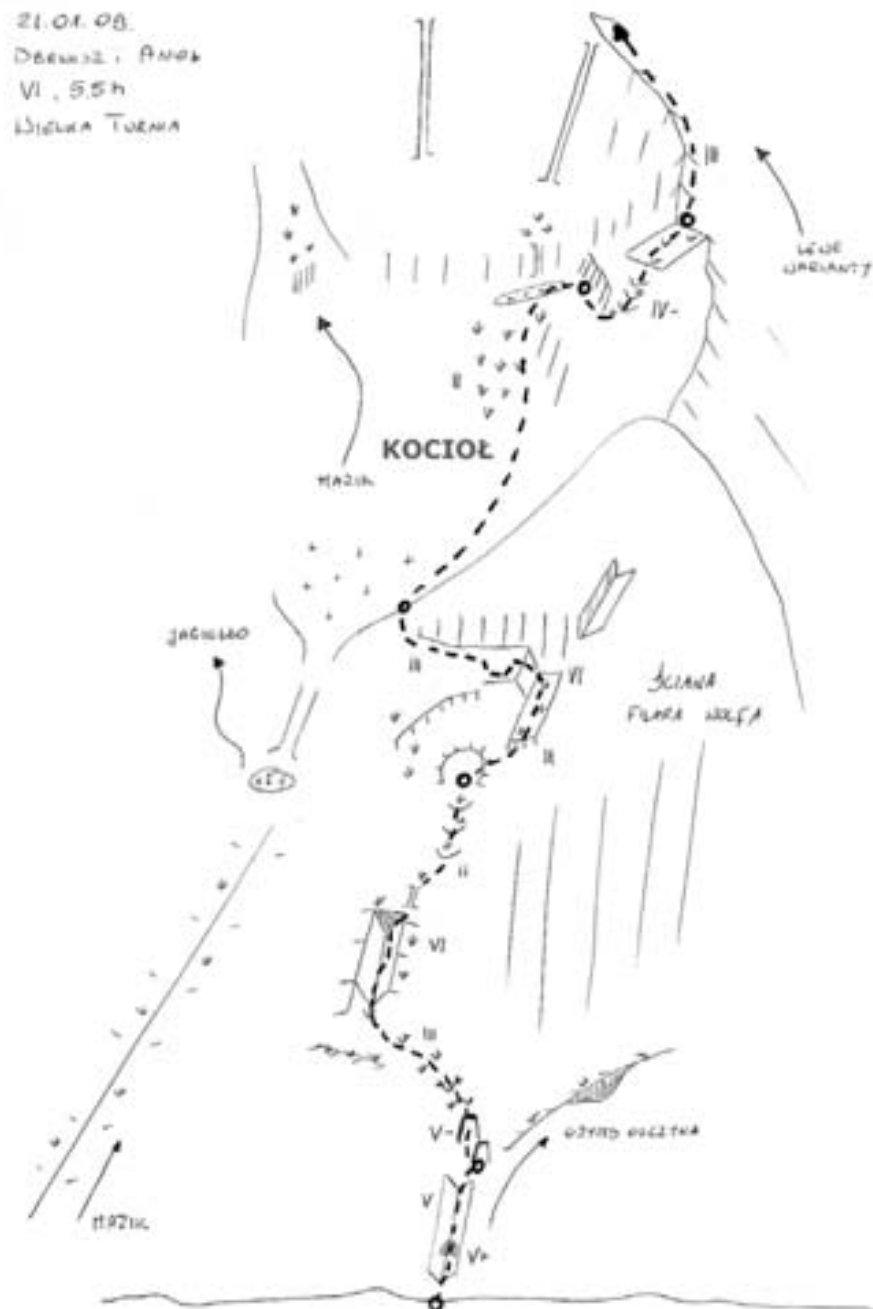
- **Danie Książęce** M7+ solo (nowa droga), Marcin Książak, 18.11.2008
- **Zemsta Nietoperzy** M7+ OS, Marcin Książak i Tomek Lewandowski, 9.01.2009



Rys.: Marcin Książek



Rys.: Marcin Książek

**Bula pod Bandziochem:**

- **Od Zmierzchu do Świt** M7
OS 6.5h (nowa droga), Krzysiek Banasik, Marcin Książak i Marcin Suchar, 29.11.2008
- **Bładym Świtem** M6
OS, Mikołaj Hotówko i Paweł Strzelecki, 12.2008
- **Cień Wielkiej Buli** M6+ A2
4.5h (nowa droga), Marek Grądzki i Rafał Nawrot, 4.12.2008
- **Młody w Zacięciu** (nowy wariant – lewe prostowanie **Światelka w Tunelu**)
Piotr Bucki i Tomasz Piasecki, 29.12.2008
- **Młoda w depresji** (nowa droga – depresja na lewo od **Środkowego Żeberka**)
Piotr Bucki i Dorota Piasecka, 31.12.2008
- **Bruce Lee i Złodzieje Dróg** M6/6+
OS 2 h, Krzysztof Banasik i Maciek Klein, 01.2009
- **Bruce Lee i Złodzieje Dróg** M6/6+
AF 6 h, Asia Twardowska, Jacek Kierzkowski i Tomasz Klimczak, 02.2009
- **Od Zmierzchu do Świt** (bez wyciągu M7)
M6+ OS 4h, Ela Kamińska i Jacek Kierzkowski, 02.2008
- **Wejście Smoka** M8
RP (nowa droga), Adrian Urbanek, Marcin Karda i Marcin Poznański, 1.02.2009
- **Defekt Mózgu** M7-
OS, Krzysztof Nowak i Mariusz Nowak, 1.02.2009
- **Wejście Smoka** M8
(pierwsze powtórzenie), Maciek Bedrejcuk i Tomek Ostasz, 7.02.2009
- **Obozowa Cesta** M8-
RP (nowy wariant - prostowanie Globalnego Ocieplenia), Paweł Kopta i Staszek Piecuch, 7.02.2009
- **Żebro + W samo południe + Globalne ocieplenie**
OS, M. Żupin i M. Knaws, 8.02.2009
- **Od Zmierzchu do Świt** M7
OS 4h, Jarek Liwacz i Andrzej Sokołowski, 12.02.2008
- **Fat boy slim** (nowa droga/wariant) VIII
A0 6h, A. Pieprzycki i A. Sokołowski, 12.02.2008

- **Cień wielkiej buli** M6/6+
OS 4h (pierwsze przejście zimowo-klasyczne), Agnieszka Tarasińska i Krzysiek Banasik, 12.02.2009
- **Od zmierzchu do świtu** M7
Flash 4h, Kuba Hornowski i Bartek Sokołowski
- **Defekt Mózgu** M7-
OS 3h, Alek Barszczewski i Marek Grądzki, 12.02.2009
- **Fat boy slim** M8+
(pierwsze przejście zimowo-klasyczne), zespół słoweński, 13.02.2009
- **Wejście Smoka** M8
RP, Kuba Hornowski i Bartek Sokołowski 13.02.2009
- **Bładym Świtem** M6
OS 4 h, Paulina Janczar i Marta Wawro, 02.2009

Słowacja**Dolina Białej Wody**

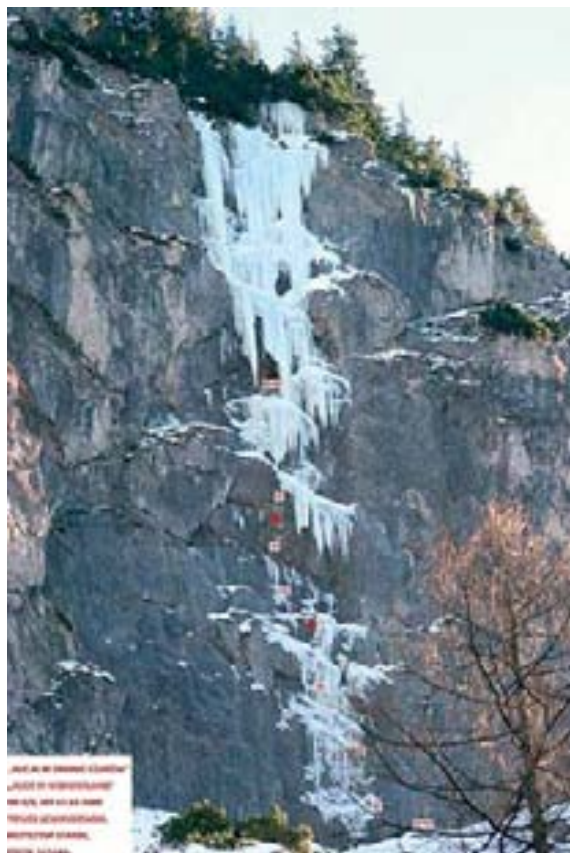
- **Alicja w Krainie Czarów** W1 5 M7
Tomek Lewandowski, Krzysztof Starek i Piotr Sztaba, 12.01.2009
- **Alicja w Krainie Czarów** W1 5 M7
Maciek Ciesielski i Tadek Grzegorzewski, 27.02.2009
- **Alicja w Krainie Czarów** W1 5 M7
Michał Król i Przemek Wójcik, 28.02.2009
- **Alicja w Krainie Czarów** W1 5 M7
Darek Melaniuk, Marcin Poznański, 21.03.2009

Wiszące Ogrody:

- **Flying Icicle** M7 W15
40m (nowa droga), Darek Melaniuk i Marcin Poznański, 1.2009
- **Walkabout** M6+ (nowa droga)
Marcin Poznański, 1.2009
- **Galileo** M6+ (nowa droga)
Marcin Holewa i Marcin Poznanski, 1.2009

Mały Młynarz:

- **Sprężyna** M6 1*A0
15h, Kuba Hornowski, Wojtek Kozub i Marcin Michałek, 12.12.2008



Alicja w Krainie Czarów

Dolina Kieżmarska

Skrajny Kieżmarski Strażnik
(Dolný Kežmarský Strážnik):

- **Spomienka** M6
OS, Robert Grzanka i Bartek Sokołowski,
28.12.2008

Mała Złota Kazalnica (Ušatá Stráž):

- **Polska Cesta**, M6
OS, Robert Grzanka i Bartek Sokołowski,
29.12.2008

Złoty Kopiniak (Szczepeňského Veža):

- kombinacja: **Medulienka + Droga Szczepepańskiego** M5/6
OS, Robert Grzanka, Bartek Sokołowski
i 30.12.2008

Dolina Mięszowicka

Galeria Szatana:

- **Popradzka Cesta** M6-
OS 250m, Magda Drózd i Adam Ryś,
28.12.2008

Zadnia Baszta:

- **Droga Zamkowskiego** (WHP 603) M5
OS 600m, Magda Drózd i Adam Ryś,
30.12.2008

Wiszące ogrody,
Dolina Białej Wody,
Galileo

Topo Wiszące Ogrody w Dolinie Białej Wody.

1. Flying Icicle M7

Darek Melaniuk i Marcin Poznański.

Droga startuje wywieszonym terenem (ubezpieczonym w spity) doprowadzającym do lodospadu WI5. W połowie lodospadu znajduje się spit, który został osadzony w czasie pierwszego przejścia, kiedy było bardzo mało lodu. Obecnie przy dobrych warunkach lodowych jest możliwa asekuracja z samych śrub lodowych. Na końcu drogi znajduje się ring zjazdowy. Droga ma około 40 m.

2. Walkabout M6+

Marcin Poznański.

Droga startuje kilka metrów na prawo od *Flying Icicle*. Pierwsze kilka metrów to trawy i skała (spity i haki), potem wejście na sople z lewej strony i dalej polewa do ringa zjazdowego. Zielonym kolorem oznaczony jest projekt (jest to otwarty projekt).

3. Galileo M6+

Marcin Holewa i Marcin „Flower” Poznański. Droga znajduje się na prawo od *Walkabout* i startuje terenem skalnym (spity, dłuższa pętla i friend nr 2) doprowadzającym do lekkiego przewieszenia. Potem wprost przez przewieszkę i lód do ringa zjazdowego.

ZIMOWY OBÓZ KLUBOWY W MORSKIM OKU 2009

Tekst: **Jerzy Rostafiński**
Zdjęcia: **Przemysław Maliszewski**

Miałem niewątpliwą przyjemność znalezienia się na tegorocznym klubowym obozie, który z winy pana Greenspana odbywał się w Morskim Oku, zamiast w kosmopolitycznym hotelu gdzieś na obczyźnie. Niestety byłem tam krótko, w zasadzie to przez mniejszą połowę (i tak dość drastycznie skróconej) imprezy. Ale zgodnie z moją naczelną zasadą „nie wiem, ale się chętnie wypowiem”, postanowiłem napisać kilka słów na jego temat.

A w zasadzie to uczestniczyłem tylko w jednym większym spotkaniu klubowiczów, ale za to jakim! Zostaliśmy zaszczytzeni wizytą samego dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego, Pawła Sławińskiego. Na szczęście przyjechał z obstawą – nie wiem, jak by się wydarzenia potoczyły, gdyby nie komentant Wlazło, człowiek budzący powszechny podziw i respekt. Jego afgańsko-iracka przeszłość o mało nie przyćmiła naprawdę ciekawej dyskusji. Przy tej okazji udało się przedstawić wzajemnie sporo argumentów i racji. Chyba wtedy po raz pierwszy padła propozycja nie likwidacji, a tylko relokacji Szalasisk. Wyjaśniono również kwestie podchodzenia na nartach pod drogi. Dyrektor okazał się sympatycznym i życzliwym nam człowiekiem, którego zapalczywość jednych i lizusostwo innych klubowiczów nie zniechęciły. Dodatkowo spotkanie dało asumpt do stworzenia zarysów scenariusza kontynuacji serialu „Kryminalni” pod tytułem „Parkowcy”. Przebój murowany, a postać tajemniczej Faunistki ze świstakiem na kolanach (stylizowanej na Ernście Stavro Blofeldzie, który, nawiasem mówiąc, miał polskie korzenie) ma szansę zostać jedną z najbardziej mrocznych i tajemniczych femme fatale polskiej kinematografii. Nad koncepcją tego serialu pracowała wąska grupa klubowiczów odseparowanych w Starym Schronie. Jako że i ja tam siedziałem, to nie mogę opisać większości ciekawych wydarzeń obozu, w których po prostu nie brałem

Łuna nad Morskim Okiem.



Podobno ćwiczone chodzenie po lodowcu.

A-zero hamowania czekaniem.





Nocne Polaków rozmowy.

udziału. Dodatkowo gdy tylko przyjechałem, blisko połowa uczestników postanowiła wyjechać. Zaskakujące!

Poza tym, dorośli i poważni ludzie mieszkali w Nowym, więc my, biedna, nieśmiała młodzież, zostaliśmy mimowolnie zepchnięci na margines. Jedyną pociechę zafundowały nam

I nagle wybuchło tysiąc stoń!

dwie firmy: Nestle i Grupa Żywiec. W płatkach śniadaniowych odkryto, początkowo wzgardzone, karty do gry w domino z wizerunkami bohaterów obrazu „Madagaskar”. I tak Alex, Melman czy Marty zastąpili nam Dudusia, Gela i innych dzielnych lojantów. Ze względu na nieletnich czytelników biuletynu nie wymienię wszystkich wersji gry w tę odmianę domina, które narodziły się w mniej lub bardziej spaczonych wyobraźni ludzi z pozoru poważnych – znanych instruktorów wspinaczki, szacownych dam czy poważnych ojców – i na co dzień ludzi powszechnie respektowanych. Tylko Jacek K. (znany użytkownik wspinaczkowych serwisów internetowych) stanowił łącznik pomiędzy budynkami i to dzięki niemu jako tako się trzymaliśmy i nie straciliśmy poczucia wspólnoty z resztą obozu.

Podobno nawet się wspinano. Podobno ktoś jeździł na nartach. Podobno ktoś połamał komuś kije. Podobno ćwiczone chodzenie po lodowcach. Podobno nikt nie chorował. Było całkiem fajnie.

PS. Przy okazji udało się ustalić, kto jest win-



Podobno nawet się wspinano.

ny konieczności przeniesienia taboru, a jest to (dane usunięte przez redakcję, z powodu uzasadnionych obaw o życie delikwenta).

PS. 2. Poznałem bardzo sympatyczną klubowiczkę, ale nie wiem kim była. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie – proszę o pomoc!



Jak nie zrobiłem...

Tekst: **Jan Gondowicz**

...Łapińskiego i Paszuchy

Dziękuję temu poświęciłem kiedyś sporą część lutego. Zima była tęga, więc w Moku rozgorzał wielki spór szkół przedwstępnych. Jedna nakazywała podchodzić pod co bliższe pagóry marszobiegiem w podkoszulku i gaciach, ściągnąć pod ścianą przepocone ciuchy, bohatersko przebierać się w suche i napierać. Druga – wręcz przeciwnie. Dziko kłapiąc zębami w kociołku, wpuszczałem właśnie w portki zieloną bajową koszulę, gdy zakręciło mi w nosie. Kichnąłem jak smok. Zerwa z miejsca splunęła pyłótką, która zabrała plecaki. Znaleźliśmy je, kiedy zrobiło się jasno. Wtedy także odkryłem, że nie mam na nosie okularów.

Po tygodniu, w nowych okularach, zaufałem drugiej szkole. Kurtkę puchową, stuptuty i podwójne zawraty wdziałem, siedząc jeszcze na łóżku. Ale jak już coś robić, to na całego, prawda? Włożyłem i raki. Po co później paluchy odmrażać? Z czekaniem w jednej ręce, a juwłem w drugiej, cichutko, bo trzecia w nocy, wszedłem na schodki, z których drugi miał się okazać ostatnim. W pełni wykorzystując przyspieszenie ziemskie, zawinięty w chodnik z dwóch pięter, wyrzuciłem łbem w drzwi Dziuni. Te zaś w mig się otworzyły i wychyłała z nich głowa w papilotach. A trzeba wam wiedzieć, że Dziunia w papilotach była zawsze sama z siebie wściekła. Spuśćmy zasłonę milczenia na ciąg dalszy tej sceny.

Kiedy przestało mnie już strzykać w krzyżach po przeszuflowaniu wywrotki koks, postanowiłem udoskonalić moją metodę. W następnej parze nowych okularów, z worem na plecach, czekałem w zębach, butami pod pachą, naręczem lin i ciuchów, ale w skarpetkach, jak nietoperz w ciąży przefrunąłem do lodowatej sionki. Nastąpiła jak zwykle wymiotna jajecznicza, wymiotna herbata, wymiotne dociąganie sznurowadła, gdy wtęma druga stopa wpuszczona w but natrafiła na coś dziwnego. Rozległ się najwymiotniejszy ze wszystkich trzask i w cholewce zapieniło się białko z żółtkiem. O perfidne podłożenie jajka do dziś dnia posądzam, wnioskując ze stylu żartu, ówczesnego obserwatora PZA, Zbyszka S., który także po dziś dzień się tego wypiera.

A nazajutrz ruszyliśmy z Maszą w inne ściany.

Fot.: Przemysław Maliszewski

...Spreżyny na Kościelcu

Dobry początek nastąpił – oto właściwe słowo! – jeszcze za czasów mody na wspinanie w wiabramach. Łapało się wewnętrznym brzegiem podeszwy krawadki i zadziorki. To była technika! Zaraz na dolnych płytach bucior się ześlizgnął i przydepnąłem sobie kciuk. Słyszeliście, żeby komu zdarzyło się coś tak głupiego?

Za drugim razem po malej godzinie coś w górze szurgło, trzasło, z paskudnie tępym odgłosem gruchło o piargi. Słowem, jak nic zleciał ktoś Kominem Świerza. Zjechaliśmy z pierwszego wyciągu szukać zwłok. Był to trup walizki! Spory, skórzany. Z obu stron wydarło mu dziury. Wyłaziła piżama, ręcznik, inne flaki. Zabraliśmy ciało na Karb szukać właściciela.

Za trzecim razem umyśliłem się przed trawersem pokrzepić. To był chleb z serem. To był błąd. Dwa kroki później hyknęło mi tak znieknacka, że omal nie puściłem chwytów. „Masz stracha?“, spytała Masza. „Mam czkawkę!“, wyjaśniłem. Przełożyłem ręce i hyknęło, aż mi dech zaparło. „Napij się wody!“, poradziła. „Tutaj?“, zgrzytnąłem, robiąc chwiejnie następny ruch. Hyknęło, aż miałem mroczyki w oczach. „Kupa śmiechu!“, skomentowała. Walnąłem się w kark. „Często ci się tak robi?“, zaciekała się Masza. Zrobiłem krok. Hyknęło z samego dna organizmu. „Rozluźnij się!“, wpadła na pomysł. Hyknęło. Byłem u końca trawersu. Naciśnąłem sobie palcem gardło. Hyknęło tak, że o włos puściłbym pawia. Absolutny luft wirował mi w oczach. Spojrzałem w górę na szparę w okapach, wziąłem głęboki oddech. No i puściłem tego pawia.

A nazajutrz ruszyliśmy z Maszą w inne ściany.

Tekst: **Bartłomiej Tofel**

DŹWIĘKI TŁUCZONEGO SZKŁA I CYGAŃSKIE RZĘPOLENIA, CZYLI KARNAWAŁ

Gdzie nie wystarcza rzeczywistości, tam zaczyna się wyobraźnia. Tak jest w przypadku podróży (na hulajnodze, z teściową na plecach, do Honolulu) i wspinaczek (*Warianty Matolaty* tylko prawą ręką, może być bez teściowej), tak też będzie w przypadku tego tekstu. Nie jest to zresztą jedyna przyczyna... Po prostu nie pamiętam już, co dokładnie się działo (i powiedzmy sobie szczerze, kogo by interesowała dokładna chronologia tamtych wydarzeń?). Zdjęcia nie są w stanie otworzyć wrót pamięci, ba, nawet umieszczone

pod nimi podpisy stały się dla mnie tajemnicą (którą pewnie były zawsze dla innych oglądających) i nie potrafię odgadnąć, co wyrażały. Z pewnością były to rzeczy godne zapamiętania – zabawne, przerażające, ciekawe, ukazujące ukryte znaczenie każdego kadru. Ale cóż, skoro klucza brak? Opowieści znajomych też nie rozpraszają mroków niepamięci, więc zostaje mi jedynie zdać się na wyobraźnię.

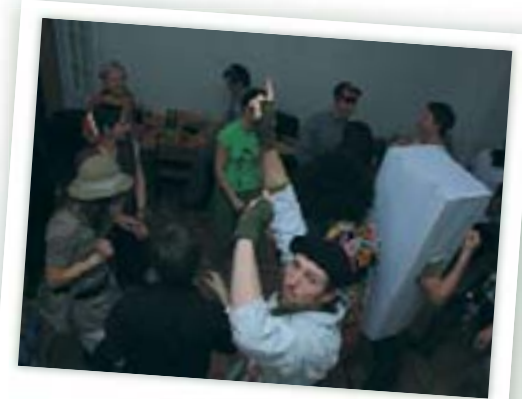
Bal to było (chciałoby się napisać „niezapomniane”, ale przecież nie mogę skoro za-

pomniałem) niezwykle wydarzenie. Byłem pewien, że okaże się wielką klapą, stratą czasu i potężną porcją żenady i kto wie, może dlatego mnie tak miło zaskoczył.

Początkowo byłem spięty. A to przebranie nie do końca przemyślane i na dodatek nieoryginalne (dzięki Czoper!). A to obawa przed tym, co tu powiedzieć i dlaczego akurat to, a nie co innego. Więc piłem. Co było robić? A to wódeczkę, a to naleweczkę, a to piweczko. Piłem i rozglądałem się po bokach, oczekując znajomych, którzy mieli mnie uratować z opresji skrępowania. A ci, jak na złość, przybierali bardzo powoli, jak czekająca na powódź rzeka, gdy akurat nie zanoszą się na nic większego niż mżawka.

Potem robiło się zdjęcia. Takie, śmokie, owokie, byle ciekawe i nieco mniej nudnawe niż zwykła dokumentacja. Ambicja wspierana procentami walczyła z obawą przed niepowodzeniem. Jakieś miśki w maskach gazowych paradowały mi przed obiektywem, deliryczne, upite pudełka magnezji skakały po taboretach, podróżniczeki siekały dawno wymarłe lamparty zardzewiałymi maczetami, a tu czy tam członek Pavulon Expedition Team prowadził podejrzaną interesy z wujkiem Escobarem. Nad całym tym parkiem rozpusty unosiły się papugi spłoszone z gałęzi fałszywym fałsztem Padre Pederastia śpiewającego na całe gardło „Alleluja! I hej do przodu”.

Potem wciąż robiło się zdjęcia, a jednocześnie robiło się gorzej (w sensie, że lepiej i nie ze zdjęć). Pojawiły się jakieś natrętne orangutany, napalone kocice, zablakane kowbojki z butelką Smirnoffa w dłoni w miejscu Winchestera, zbiegłe z moskiewskiego baletu albo himalajskich łąk primabaleriny i rosomak na łańcuchu. Słowem pleć piękna w nadmiarze i rozkwicie. I to wszystko, te wszystkie bestie, pokraki, piękności, ułamki i dziwne mutanty pulsowały, wiły się, pełzały w rytm muzyki i dziwacznych spazmów wokalnych co bardziej opętanych człowieczyń, obściskowały się po kątach, panoszyły w co większych zakamarkach i miejscach pozba-



Nie samym wspinaniem człowiek żyje. Fot.: Wojtek Nowicki.

wionych światła i wścibskich oczu. Wyglądało to malowniczo, trochę jak scena ze *Schizy i zmutu w Las Vegas*, w której nakwaszony Raul Duke, notabene doktor dziennikarstwa i postać autentyczna, siedział w knajpie hotelowej, oczekując na pokój, a przed nim paradowały pijane i rozpustne jaszczury.

Gdzieś tam za półmetkiem imprezy zakręciłem się zupełnie. Mój lunochod cudem



Przedstawiciele Republiki Indii. Fot.: Wojtusiek Nowicki.

☞ Tak się bawi zarząd KWW. Fot.: Wojtek Nowicki.

przemieszczał się pomiędzy bulderownią, gdzie mali chłopcy w okularach i szelkach ćwiczyli nowe przystawki, siłownią, gdzie na zmyślnych przyrządach zaległo wiele siłaczy i siłaczek, odważnie trenujących ciało przed kolejnym rejsem łódką Bols, a kuchnią, w której kolejne plany naprawy świata snuł plemnik doktora Alberta Heina razem z Maksymilianem III Cze Gwara.

Patrzac w kategoriach ogólnych prawidłowości, ludzie przychodzili i odchodzili niczym fale morskie. Niektórzy jak te sztor-

mowe – uczestniczyli krótko i intensywnie. Inni byli raczej jak flauta – posuwali się powoli, acz stanowczo po ścieżkach upojenia, by w końcu wycofać się spokojnie i taktownie wraz z porannym odpływem. Ale większość falowała w zgodnym, lekko roziskrzonym rytmie, bardziej przypominając zadowoloną ze swojego stanu zagubienia boję ratunkową niż jakąkolwiek falę. Ponoć w pewnym momencie podплыnęła do niej zaalarmowana przez sąsiadów policja. Szeptano się potem po kątach, że ktoś przebił im ponton albo

W himalaizmie też liczy się magnezja. Fot.: Bartłomiej Tofel.



ukradł rower i musieli wracać na brzeg normalności wpływ, ale ja nic o tym nie wiem, bo orbitowałem wówczas w jeszcze innym układzie gwiazdnym.

Na koniec, a trzeba wam wiedzieć, że było już koło czwartej, zostało nas wszystkiego sześć zwłoków (tak, zwłoków, celowo tak napisałem!). Flintstone, Kapitan Ameryka, Magnezja, Dr Jones oraz konający gdzieś w kącie Tomasz Al-Dżazira. Rzeczywistość stała się coraz bardziej nierealna, wybite okienko w toalecie tykało nieprzychylnie, alkohol stopniowo wyparowywał. Za to widmo sprzątania stało się coraz bardziej realne. Czym prędzej opuściłem lokal, grożąc na odchodnym, że i tak zapiszę się do KW Kraków (z czego ostatecznie nic nie wyszło) i przez pustawe ulice, na których sterczeły smutni sprzedawcy kebabów oraz rozbitkowie z innych imprez, dopłynąłem (tak, to właściwe słowo na określenie węzowych ruchów) do mrocznej jamy, zwyczajowo zwanej mieszkaniem. I dopiero wtedy, gdy po kilku godzinach snu obudziłem się jeszcze lekko pijany, zakończył się dla mnie bal karnawałowy KW Warszawa roku pańskiego 2009. Bal zapomniany, a mimo to godzien pamięci i rocznic wszelakich.



Królowie życia. Fot.: Wojtek Nowicki.



Wrogi element z UKA. Fot.: Bartłomiej Tofel.

Devil inside... Fot.: Wojtek Nowicki.





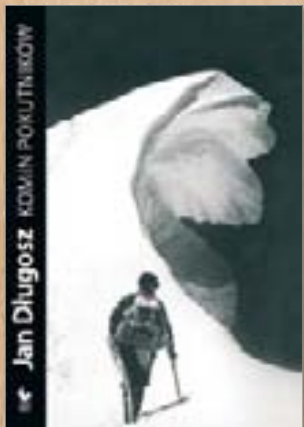
Rys.: Mariusz Sochaj.

Bal Karawantowy KPM Warszawa 2009



Smukłe lodowe tydki i śnieżne kragłości...

Bartłomiej Tofel



Książka wpadła mi w ręce w ukraińskich Gorgach jako prezent urodzinowy od członków tajemniczej Sekcji „R” KW Warszawa. Życzenia, blask ogniska, pierwsze przymrozki, księżyc w pełni. Pelen romantyzm. Weszliśmy razem do namiotu, lecz nim rozbrałem ją wzrokiem, musiało minąć jeszcze kilkanaście dni, kilkadziesiąt kilometrów, kilka flaszek. A i wówczas nie było łatwo. Opierała się, wylegując kusząco na parapecie, pokrywając się stopniowo kurzem i starością. Dopiero pewnego popołudnia ciągnąca się godzinami milcząca biel pustych ścian zламala jej nieustępliwość. Udało mi się wreszcie poznać rozkosze jej delikatnego wnętrza, ukrytego pod intrygującą okładką ze śnieżną kopułą Szchary z roku pańskiego 1959.

Opowiadań było kilkanaście. Układały się wzdłuż rosnącej skali egzotyki i niedostępności celu. Jedwabne stopy ginęły w śnieżnej tatrzańskej kurniawie w okolicach Czeskiego Szczytu. Smukłe tydki idealnie imitowały lodowe kominki przemierzanej samotnie wschodniej ściany Mięgusza. Kolana przypominały łagodne śnieżne kragłości Mont Blanc i Dome du Gouter. Było na czym zawiesić oko, nie powiem. Błady papier gładko przesuwiał mi się pod palcami. Czas przestawał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Uroczę ramiona niepostrzeżenie przechodziły w długie i delikatne palce Muru Bezingi. Tonące

w mgłach oddalenia poślady przywodziły na myśl podwójny wierzchołek mającego na horyzoncie Elbrusa. Z każdym kolejnym krokiem coraz głębiej penetrowałem krainę błogości. Stopniowo zmienił się krajobraz. Wędrowałem teraz przez zaokrąglony i pełny, lecz zdradliwy labirynt pociągających przewieszek i okapów zachodniej Petit Dru, by na chwilejających się na nogach dopełnić poprzez płaskie podbrzusze urwiska Eigeru ku ukrytemu w gąszczach spisu treści klejnotu – pierwszego przejścia Filaru Freny Białej Góry. Cóż to było za wejście! Cóż za przygoda! Cóż za gwiazdzista otoczka głowy naszego ogiera – Chris Bonington, Ian Clough i Don Whillans. Istna rozkosz górskich zmysłów. Szaleństwo w mrocznych załomach strzelistej wyobraźni.

Gdyby tego było mało! Ah, gdyby! Gdyby nie była to bardzo zgrabnie, lekko i bezpretensjonalnie napisana proza. Gdyby nie obfitowała w galerię żywych, wspaniale namalowanych postaci. Gdyby nie opisywała żywotnych problemów oraz milowych kroków polskiego taternictwa i światowego alpinizmu. Gdyby nie była pełna błyskotliwego dowcipu i ciekawej akcji. Gdyby nie obfitowała w tę głębię przeżywania grozy przyrody i piękna przygody, której niektórym z nas tak często brakuje, gdy walczymy w mroźnej ścianie. Gdyby tego wszystkiego było mało zawsze pozostałyby nostalgiczne zdjęcia autorstwa Jana Długosza, Czesława Momatiuka, Macieja Bały czy Bronka Kunickiego, wspaniale uzupełniające taniec pióra starego mistrza. Małe wejścia w przeszłość taternictwa, starodawny ekwipunek, duszę wspinaczki.

Krótko mówiąc – ta książka jest lepsza niż kobieta i warto mieć ją w łóżku, a przynajmniej w zasięgu ręki, na półce. Jeśli nie na całą noc, to przynajmniej na kilka długich, upojnych popołudni, kiedy czas płynie wolno, a lenistwo wycieka ze ścian. Lecz uważajcie! Po lekturze może ogarnąć was nieodparta chęć wyruszenia w góry. Byle zaraz. Byle dalej. Byle wyżej. Byle z przyjaciółmi.

No dobra, przynaję. Może rzeczywiście się zagalopowałem. W końcu to tylko książka. Wróćmy więc na koniec do konkretów. Trzynaście opowiadań. 339 stron. Tylko 38 złotych. I bonus, którym chwałę się wydawcy – tło historyczne każdego z opisywanych w książce przejść, notki biograficzne występujących w niej postaci, publickacyjna historia każdego tekstu oraz prawie setka dotychczas niepublikowanych fotografii. Smacznego!

JAN DŁUGOSZ, „KOMIN POKUTNIKÓW”, ISKRY 2008.

Zwyczajna biografia nadzwyczajnego pióra

Ola & Bart



Cytując znaną żurnalistkę, to książka „obrzydlawie i zatrważająco polska. Po polsku uboga, przaśna, nędzna!”. Bzdury! Może nie ma w niej zachwyty nad polskością i polskim etosem, ale niby dlaczego miałby być? To książka o wspinaczce, a nie studium patriotyzmu. A o wspinaczce mówi w ujmującym prosty, bezpretensjonalny i pozbawiony niepotrzebnej wzniosłości sposób. Autor zresztą prowadzi nas przez pierwsze zatrważające próby wspinaczkowe i kursy, wejście w środowisko (na szczęście – wrocławskie!), po wyjątkową atmosferę klubu wysokogórskiego (nie to co u nas, co?) czy prace na wysokościach (te znikające w niewiadomy sposób elementy konstrukcji budynków, które nigdy nie zostają odnalezione na ziemi). Zobaczymy tu życiorys wspinaczkowy, jakich wiele – bez wielkich przeżyć, honorowych wspinaczek, mrozących krew w żyłach przygód czy oszalałymi sukcesów. Tę pozorną zwyczajność obficie okrasza solidną i smaczną porcją anegdot (wiadomo oczywiście, która jest najbardziej znana), opowieści mniej i bardziej blących oraz małą dawką głębszych refleksji.

Dystans, skromność, niesamowite poczucie humoru, lekkie pióro i piękna, także wspinaczkowa, polszczyzna to wyróżniki tej pozycji.

PS. Dla bardziej obeznanym ze środowiskiem wydawców literatury górskiej i stałym bywalców wszelkich przeglądów smaczkim będzie niewątpliwie epilog do wydania drugiego. Można by rzec, tak się należy bawić i tak nie należy robić interesów ;)

TOMASZ HRECZUCH, „PROSTOWANIE ZWOJÓW”, WYDANIE II, STAPIS 2009.

Pani Ania w Himalajach

Artur Paszczak



Książkę tę po prostu połknąłem w dwa wieczory, a trzeba wam wiedzieć, że fanem literatury górskiej nie jestem. Nie jestem, bo jest przeważnie nudna i źle napisana. Dlatego właśnie wielkim plusem „Górfanki” jest to, że się nie wysiła – na sztukę, głębokie przemyślenia czy udawaną skromność.

Za to Anna Czerwińska

jest w tej książce szczerą, czasem nawet bezlistośnie, dzięki czemu dostajemy do ręki opowieść prawdziwą, żywą i wiarygodną. Opowiada o prawdziwym wspinaniu, jest pełna anegdot a nawet złośliwości, które tak często ukrywa się przed postronnymi, bo to przecież nie wypada tak o kolegach... Kto jest jednak wolny od zazdrości czy małostkowych myśli? Kto ma na tyle odwagi, aby o tym uczciwie napisać? Anka Czerwińska nie musi umizgiwać się do publiczności, pisze jak było, jak czuła, jakie naprawdę wynosiła wrażenia. I jest to koktajl niesamowity – chwilami ciarki człowie-

ka przechodzą, innym razem pocą się ręce, a jeszcze innym wybuchają się histerycznym śmiechem. Trzy góry – Everest, Lhotse i Makalu, dają Ance asumpt do przypomnienia wielu wypraw i ludzi, do ożywienia ogromnej części przykurzonej historii najnowszej polskiego himalaizmu, począwszy od wyprawy na Makalu w 1988 r. Była to wyprawa pamiętna, bo współorganizowana przez KWW. Brali w niej udział Zbyszek Skierski, Tomek Kopyś i Rysiek Kołakowski. To właśnie na tej wyprawie Rysiek dał Ance w twarz, a parę dni potem zaginął pod szczytem. Dodatkowo Carlos Carsolio oskarżył potem Polaków o nieudzielenie mu pomocy. O tym wszystkim Anka pisze bez udawania, bez cienia sztuczności, wprost, chciałoby się powiedzieć – po męsku. Warto to przeczytać, choćby po to żeby uśmieć się przy fragmencie jak to „Falvity szczeniaki przez radio” i jak to Ance „dało po ambicji”, że aż na to Makalu wlała. Podsumowując, „Górfanka II” to świetna, bezkompromisowa opowieść. Ale powiedzmy sobie szczerze – taką rzecz może stworzyć tylko ktoś, kto naprawdę ma o czym opowiadać. A bez wątplenia Anka ma, jak mało kto. Dlatego w górskiej bibliotece „Górfanka” zajmuje pozycję wyjątkową.

ANNA CZERWIŃSKA, „GÓRFANKA. NA SZCZYTACH HIMALAJÓW”, ANNAPURNA 2008.

Siedmiotomowa pigułka wiedzy Aleksandra Ogłozza



Zaledwie kilka tygodni temu na rynku ukazał się kolejny, czwarty już tom „Wielkiej encyklopedii gór i alpinizmu”, poświęcony w całości pasmom górskim obu Ameryk. Zanim jednak przyjrzymy się mu bliżej, przypomnijmy te części serii, które zostały już wydane.

Prace nad encyklopedią rozpoczęły się niemal 12 lat temu. Dwoje redaktorów, Małgorzata i Jan Kielkowscy, podjęło się zadania wymagającego ogromu zaangażowania i włożonej pracy. Postanowili zawrzeć w jednej publikacji informacje na temat gór i działalności alpinistycznej. Szybko jednak okazało się, że jest to zadanie trudne, wymagające połączenia wiadomości z wielu dziedzin – nie tylko geografii czy nauk biologicznych, ale także historii, tradycji, kultury i sztuki. Ponadto ważnym elementem, na którym chcieli skupić się redaktorzy, były tematy związane z alpinistyczną eksploracją gór świata, szczególnie z dokonaniem Polaków. Powstało w ten sposób dzieło łączące kompleksową i interdyscyplinarną wiedzę o wszystkim, co jest związane z górami. Projekt szybko przekroczył zakładane ramy, postanowiono zatem opublikować go nie w jednym, jak początkowo planowano, a w siedmiu tomach uporządkowanych tematycznie.

Pierwszy z nich wprowadza odbiorcę w problematykę ujętą w kolejnych pozycjach, przedstawia w ponad 2400 hasłach informacje ogólne o górach (zawierające także wiadomości geologiczne, ze świata roślinnego i zwierzęcego oraz dotyczące terminologii geo- i topograficznej), związane z alpinizmem i powiązanymi z nim sportami, a także jego historią, rozwojem, ideologią. Nie zabrakło też opisów używanego sprzętu.

W drugim tomie, całkowicie poświęconym już Azji (75% powierzchni tego kontynentu zajmują góry)

kompleksowo opracowano hasła opisujące nie tylko systemy, łańcuchy i pasma górskie, ale również te poświęcone ważniejszym masywom, szczytom, dolinom i lodowcom oraz związanym z nimi działaniom alpinistycznym. Było to jedno z głównych kryteriów przy doborze hasel, tuż obok znaczenia geograficznego, historycznego i kulturowego. Zabrakło natomiast informacji o tematyce jaskiniowej, które być może znajdą się w osobnej publikacji poświęconej speleologii. W części tej zawarto ponad 4300 hasel, 235 specjalnie przygotowanych map oraz liczne, kolorowe (w trzech wkładkach) i czarno-białe fotografie (w tekście). W pracy nad tym tomem zaangażowani byli ponadto Piotr Atanasow oraz Krzysztof Sas-Nowosielski.

Trzecia pozycja z tej serii przedstawia wszystkie europejskie systemy i łańcuchy górskie, ważne masywy, doliny oraz szczyty. Uwagę skupiono nie tylko na górach, podobnie jak w tomie wcześniejszym, opisano także rejony skalne, jeziora, rzeki i miejscowości górskie. Cztery tysiące hasel wzbogacono o 200 map oraz 600 fotografii, w tym 145 kolorowych. W tomie tym duży nacisk położono na tematykę tatrzańską. Zawarto w nim także obszernie informacje na temat Alp, Pirenejów i licznych pasm Bałkanów, nie zabrakło też innych regionów górskich Europy – od Gibraltaru aż po Ural. Sporą część hasel alpejskich napisał Janusz Kurczab, góry Bułgarii prezentuje Piotr Atanasow. Autorami tej części encyklopedii są również Aleksander Kwiatkowski, Michał Ronikier oraz Krzysztof Sas-Nowosielski.

„WIELKA ENCYKLOPEDIA GÓR GÓR I ALPINIZMU”, RED. MAŁGORZATA I JAN KIELKOWSCY, TOM I–III, STAPIS 2003–2007.

Podróż sentymentalna Aleksandra Ogłozza



Bardziej znany przede wszystkim jako autor „Siedmiu lat w Tybecie”, Heinrich Harrer tym razem pisze o podróży sentymentalnej do kraju, który kiedyś był dla niego drugą ojczyzną. Podróż tę odbył na początku lat osiemdziesiątych, trzy dekady po tym, jak został zmuszony do opuszczenia Tybetu. W ciągu tych lat Banda Czworga zrobiła swoje. Razem z Harrerem obserwujemy upadek kultury tybetańskiej, konsekwentnie niszczonej przez chińskich okupantów. Autor wraca do miejsc, które zna z czasów swojego pobytu w Tybecie, do miejsc, których już nie ma, a które składały się na jego wyjątkowość – miasta klasztorów, stare warownie, budowle, miejsca kultu (pomaga w tym bogaty materiał fotograficzny uzupełniający publikację). Jego oczami obserwujemy Tybet z początku lat osiemdziesiątych, przez jego pryzmat poznajemy historię kraju oraz ludzi, którzy odegrali w niej kluczową rolę – arystokratów, dalajlamów, mistyków (szczególnie Dalajlama XIV jawi się na kartach książki nie jako przywódca duchowy, a przyjaciel, zwykły człowiek). Jedno pozostaje niezmiennie – ludzie spotkani przez autora, uczciwi, prostolinijni, wierni tradycyjnym wartościom, ideałom i wyznawanej wierze. W ciągu 50 lat okupacji Chińczykom nie udało się zmusić ich do posłuszeństwa, pozbawić tożsamości narodowej.

Postówie Janusza Korwina-Mikke uświadamia jednak, że Tybet oglądany przez Harrera i uwieczniony w tej książce to kraj odległy od dzisiejszego o niemal kolejne 30 lat. Niestety.

HEINRICH HARRER, „POWRÓT DO TYBETU”, STAPIS 2009.

Everest 8,850
K2 8,611
Kanchenjunga 8,586
Lhotse I 8,516
Makalu 8,463
Cho Oyu 8,439

Największy polski magazyn outdoorowy • Doskonały serwis internetowy • Przewodnik po outdoorowym rynku
Mamy do zaoferowania największą możliwość i gwarantujemy najlepsze warunki współpracy
Trad Sport climbing Big-Wall Boulderling Alpinism PMS Indoor Trekking Hiking

GÓRY
www.GORYonline.com
górski magazyn sportowy

P O - S Ł O W I E P O - P R E Z E S A

ŁODOWIEC

Przyrost mas śniegu

Wieloroczne,
Odkładanie pamięci.
Gromadzenie.

Na wierzchu gruzowisko.
Chaotyczne.
Kamienie.
Ostre.

Powolna przemiana

W larwę.
Cielsko bezkształtne,
Pajęczyny szczelin zakryte.
Czyhające pustki.
Mrok i chłód w głębinie.
Czekają.
Na ofiarę.

Ruch lodu

Znikomy.
Groźny.
Osunięcie kamienia.
Dynamizm statyczny.
Miażdżenie powolne.
Piętna wyciskanie,
Milion ton
W podłoże wtłoczone.

Operacja słoneczna.

Grzyb skalny
Z blatem
Granitowym,
Płaskim.
Obok woda.
Kapanie,
Szemranie,
Znikanie
W otworze.
Gadanie z głębi.
Bulgotanie.
Czasem jęk głęboki.
Huk i jazgot.
Rzeka podziemna.
Wzbieranie, drażnienie,
W otchłań przepadanie.
Kanalizacja
Pierwotna
Nieuregulowana,
Wytapianie pamięci.
Wypluwanie niestrawionych resztek,
Materii ropiejącej.
Agonia i śmierć lodu
U wylotu
Ryk i furia
Wody.
narodziny .

Ś W I Ę T E J R Z E K I

Zbigniew Skierski



www.npm.pl



MAGAZYN
TURYSTYKI
GÓRSKIEJ



nowy poziom możliwości

Jak przystąpić do Klubu:

Nie stawiamy żadnych barier formalnych – każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków – jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść wkład w nasz rozwój – serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) – to otrzymujesz status **członka zwyczajnego** (nie musisz nam przysłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) – to możesz wstąpić do klubu otrzymując status **członka uczestnika**, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:

Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37b, w godz. 20–22) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl).

Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przysyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczzonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Gdy przystępujesz korespondencyjnie – legitymację wysłamy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:

- uczący się do lat 26 – opłata roczna 50 PLN + 50 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 30 PLN + wpisowe 50 PLN,
- osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 70 PLN + 70 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 50 PLN + wpisowe 70 PLN,
- instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
- Emeryci i renciści bezpłatnie.

Ścianki klubowe:

Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie” na ul. Nowowiejskiej 37b. Godziny dla klubowiczów przewidziane są we wtorki od godz. 20 do 22.15 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też nabywać w klubie tańsze karnety (na 10 wejść w dowolnym terminie) na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight” na ul. Obozowej 60 – cena 140 zł.

Bulderownia:

Bulderownia znajduje się w lokalu klubowym ul. Noakowskiego 10/12. Bulderownia jest dostępna dla wszystkich członków KW Warszawa we środy i soboty w godz. 16–22 (opłata 5 PLN za wejście). Dla osób należących do sekcji bulderowej – bulderownia jest dostępna codziennie w godz. 8–22, poza zajęciami treningowymi.

Obozy:

Co roku KW Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń między bardziej i mniej doświadczonymi kolegami oraz koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom – dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedziny topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na obóz, który jest umieszczony na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nieposiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecane przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy ul. Noakowskiego 10/12 Warszawa	NIP 526 16 90 727
Korespondencja ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa	REGON 000987911
Sekretariat Wtorki, godz. 19.30–22.30 ul. Nowowiejska 37b	KRS 0000122453
Internet http://kw.warszawa.pl	Konto Millennium Big Bank SA 87 1160 2202 0000 0000 1850 2085 ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa

BCA

bcaccess.com
Dystrybutor BCA (Back Country Access) oferuje po specjalnych cenach sprzęt lawinowy przy zamówieniach realizowanych przez klub – kontakt marekcy@orange.pl.

**Kayland (MountX)**

www.mountx.pl www.kayland.com
biuro@mountx.pl
Dystrybutor obuwia Kayland – MountX oferuje po specjalnych cenach dla członków klubu wybrane modele – szczegóły w aktualnościach.

**YETI**

do 30%
www.yeti.com.pl
sales@yeti.com.pl
Producent kurtek i śpiworów puchowych. Zakupy można realizować:
03-710 Warszawa, ul. Okrzei 18
tel. 022 670 12 53 w.14; fax. 022 618 33 01
Osobą kontaktową jest Pani Anna Bielicka. Specjalny 30% rabat dla członków KWW na bieleń termooaktywną Native Planet. Na produkty YETI do ceny internetowej jest 25% rabatu, na pozostałe produkty 20% rabatu. Warunkiem jest posiadanie ważnej legitymacji członkowskiej z opłaconymi składkami.

**MAŁACHOWSKI**

do 20%
www.malachowski.com.pl
info@malachowski.com.pl
Pracownia Sprzętu Alpinistycznego.
43-426 Dębówiec, ul. Skoczowska 49
tel.: 033 856 22 61
Dla członków klubu 20% zniżki na wszystkie produkty (nie dotyczy szycia na miarę).

**MARABUT**

do 20%
www.namity.pl
biuro@marabut.pl
Namity ekspedycyjne, wyprawowe, turystyczne.
32-070 Czernichów 451
tel.: 012 270 24 24
Dla członków klubu 15% zniżki przy zakupie do 5 szt. i 20% przy zakupie powyżej 5 szt.

**MONTANO**

do 20%
www.montano.pl www.sklep.montano.pl
sklep@montano.pl
Firma MONTANO zajmuje się produkcją odzieży dla ludzi aktywnych. Tworzymy odzież dla wspinaczy, ponieważ sami z niej korzystamy.
tel. 018 266 56 32, 0 888 862 397
Od 20 do 30% zniżki na odzież, sprzęt i akcesoria wspinaczkowe.
UWAGA: wyroby MONTANO dostępne są z klubowym logo – podaj proszę przy zamówieniu.

**PLUS Mountain Bike Shop**

do 20%
www.rowery.com.pl
plus@rowery.com.pl
Rowery górskie, części, akcesoria.
Warszawa, Ursynów, ul. Zamiłany 12,
tel. 022 644 29 02
Godziny otwarcia: pn.–pt. w godz. 11–19, sob. 10–14

**SUMMIT (ASOLO)**

do 20%
www.summit-asolo.pl
summit.asolo@op.pl
Zniżka na sprzęt alpinistyczny, w tym obuwie marki ASOLO. Indywidualnie zniżka 10–20% w zależności od zamawianego towaru. Na grupowe zamówienia zniżka nawet powyżej 20% w zależności od rodzaju i ilości
Sklep: Katowice, ul. Kościuszki 10
tel. 0 32 251 36 57

**Salewa**

do 30%
www.salewa.com
Partner Klubu
Szczegóły wkrótce na klubowej stronie internetowej

**TIYO POINT**

do 20%
www.tiypoint.pl
sklep@tiypoint.pl
Internetowy sklep podróżniczy
42-200 Częstochowa
ul. Dekabrystów 82
tel.: 0 603.623.824
Aktualne zniżki dla członków KW: 5–20 % w zależności od produktu.

**e-biwak.pl**

do 12%
www.e-biwak.pl
sklep@e-biwak.pl
Internetowy sklep turystyczny.
tel.kom. 0 606-707-102
tel. 055 245 00 32; fax: 055 245 00 33
Dla członków Klubu z opłaconymi składkami 12% zniżki na produkty. W rubryce uwagi wpisywać „KWW” celem identyfikacji.

**ADVENTURE/CAMPUS**

do 10%
Warszawa, C.H. Auchan
ul. Puławska 46
tel. 022 716 95 25
Warszawa, C.H. Targówek
ul. Głębocka 15
tel. 022 313 12 03
Warszawa, Hala Sportowa KOŁO
ul. Obozowa 60
tel. 022 877 33 70

ALPIN SPORT/HIMOUNTAIN

Zakopane do 10%
www.stpl.pl
alp1@ealp.pl
Outdoor, ski tour, alpinizm, wspinaczka.
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 11
tel. 0 18 201 70 95, alp1@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 28
tel. 0 18 201 44 41, alp16@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 65
tel. 0 18 201 72 84, alp2@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 43
tel. 0 18 201 42 18, alp5@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 48
tel. 018 201 30 08, alp4@ealp.pl
34-500 Zakopane, Droga na Bystre 2A
tel. 0 18 201 27 36, alp3@ealp.pl
Kasprowy Wierch
tel. 0 18 201 42 18, alp19@ealp.pl
Sklepy czynne:
pn.–cz. w godz. 11–18, pt. i sb. 11–19, nd. 11–16.

**ALPINSKLEP**

do 10%
www.alpinski.pl
bomar@alpinski.pl
Turystyka, wspinaczka, trekking.
Sklep firmowy HIMOUNTAIN
02-591 Warszawa, Metro Pole Mokotowskie
ul. Batorego 39
tel. 0 22 825 81 61
Sklep otwarty: pn.–pt. w godz. 11–19, sob. w godz. 10–16, od listopada do marca w niedz. w godz. 11–15

**AZYMUT**

do 10%
www.sklepazymut.pl
biuro@sklepazymut.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, rowery, akcesoria rowerowe, narty, snowboardy.
Przemysł, ul. 3-go Maja 12
tel.: 016 679 02 10
Godziny otwarcia: pn.–pt. 10–18, sob. 10–14
Ustrzyki Dolne, ul. 29-go listopada 26
tel. 0 13 461 34 74
Godziny otwarcia: pn.–pt. 9–17, sob. 9–14
Jarosław, Pl. Mickiewicza 11
tel. 0 16 621 67 68
Godziny otwarcia: pn.–pt. 9–17, sob. 9–14



BERGSON do 10%
www.bergson.pl www.rgsport.pl
biuro@rgsport.pl
Warszawa, ul. KEN 36 lok 33, Galeria Ursynów,
tel.: 022 649 13 54



CERRO TORRE SPORT do 15%
www.cerrotorre.pl
Sieć sklepów Jacka Fludera – CERRO TORRE SPORT
Warszawa, C.H. Klif, ul. Okopowa 58-72
Kraków, C.H. M1, Aleje Pokoju 67
tel. 0 12 296 59 00
Kraków, ul. Sienna 14
tel. 0 12 429 68 12
Wrocław, C.H. Auchan, ul. Francuska 6
tel. 0 71 780 66 47
Wrocław, C.H. Marino, ul. Paprotna 7
Katowice, C.H. Supersam, ul. Piotra Skargi 6
tel. 0 32 781 03 77
Zabrze, C.H. M1, ul. Plut.R. Szubaczka 1
tel. 0 32 777 04 10
Legnica, Galeria Plastów, ul. Najśw. Marii Panny 9
tel. 0 76 727 74 55
Radom, C.H. M1, ul. Grzeczynarowskiego 21
tel. 0 509 819 985



EXPEDITION do 10%
www.expedition.com.pl
expedition.sklep@gmail.com
Sklep turystyczny
Warszawa, Al. Solidarności 129/131 (obok Sądów)
tel.: 0 22 652 20 35



HIMOUNTAIN do 10%
www.himountain.pl
Warszawa, C.H. Reduta, Al. Jerozolimskie 148
Warszawa, ul. Królewska 2 (wejście od Krakowskiego Przedmieścia)
Warszawa, C.H. Arkadia, Al. Jana Pawła II 82
Warszawa, Janki, C.H. Geant, ul. Mszczonowska 3



MULTAN EXTREME do 10%
www.multanex.com.pl
mail@multanex.com.pl
Warszawa, Al. Jana Pawła II 32
tel. 0 22 620 36 76, 0 22 652 31 56
Godziny otwarcia: pn.–pt. 10–20, sob. 10–16



QUIKSILVER-ROSSIGNOL do 10%
www.pmsport.pl
Dla członków klubu za okazaniem legitymacji
klubowej z opłaconymi składkami
10% zniżki na wszystkie produkty w sklepach:
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet
Gdańsk, al. Przywidzka 8
QUIKSILVER-ROSSIGNOL CH KLIF
Gdynia, al. Zwycięstwa 256
ROSSIGNOL PRO SHOP Pasaż Handlowy RYNEK 13
Kraków, ul. Rynek Główny 12
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA KAZIMIERZ
Kraków, ul. Podgórska 34
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA KRAKOWSKA
Kraków, ul. Pawia 5
QUIKSILVER-ROSSIGNOL STARY BROWAR
Poznań, ul. Półwiejska 42
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet
Sosnowiec, ul. Orłąt Lwowskich 138
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA MOKOTÓW
Warszawa, ul. Wołoska 12
QUIKSILVER-ROSSIGNOL ZŁOTE TARASY
Warszawa, ul. Złota 59,
QUIKSILVER-ROSSIGNOL SADYBA BEST MALL
Warszawa, ul. Powsińska 31
ROXY-ROSSIGNOL CH ARKADIA
Warszawa, ul. Jana Pawła II 82
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet
Warszawa, ul. Puławska 42E
QUIKSILVER-ROSSIGNOL ARKADY WROCŁAWSKIE



ROBERT'S OUTDOOR EQUIPMENT do 10%
www.roberts.pl
roberts@roberts.pl
Specjalizuje się w produkcji odzieży i śpiworów
ocieplanych puchem.
Gdynia, ul. Nowodworcowa 15
tel.: 058 629 42 98, 0 58 352 08 97



SHERPA do 10%
www.sherpa.pl
sklep@sherpa.pl
Sklep górski
Warszawa, ul. Żelazna 59
tel. 022 455 85 35
Dla członków KW z ważną legitymacją i opłaconą składką 10% zniżki na
wszelki asortyment nieobjęty promocją.



SKLEP PODRÓŻNIKA do 10%
www.sp.com.pl
sklep@traveler.com.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, narty, przewodniki,
mapy i literatura.
Warszawa, ul. Grójcka 46/50
tel. 022 668 66 08
Warszawa – K1, ul. Kaliska 8/10
tel. 022 822 64 81
Warszawa – K2, ul. Kaliska 8/10
tel. 022 822 54 87



EXTREME SPORT – Zakopane do 7%
www.extreme.z-ne.pl
604451660@eranet.pl
Zakopane, ul. Krupówki 36
tel.: 018 206 29 99



MARIENSZTAT SPORT do 7%
www.mariensztat.pl
poczta@mariensztat.pl
Warszawa, ul. Mariensztat 19A – Centrum Sportów Górskich
Warszawa, ul. Garbarska 5 – sklep firmowy THE NORTH FACE
tel. 0 22 827 19 58
Czynne: pn.–pt. w godz. 11–19, sb. 10–15



POLAR SPORT do 7%
www.polarsport.pl
Sklep górski POLAR SPORT oferuje duży wybór odzieży i sprzętu do turystyki,
wspinaczki, alpinizmu, skitouringu. Najlepsze marki, konkurencyjne ceny,
częste promocje. Zapraszamy na www.polarsport.pl i do naszego sklepu przy
ul. Siennej 15 w Krakowie.
tel. 0 12 422 42 49, 0 801 000 362

www.polarsport.pl

Sklepy Turystyczne "Horyzont" do 5%
www.e-horyzont.pl
Sklepy Turystyczne i sklep internetowy oferują członkom KWW zniżkę 5%.
Centrum Handlowe TARGÓWEK, lokal nr 120
ul. Głębocka 15, 03-287 Warszawa
tel. 0 22 674 15 77, targowek@e-horyzont.pl
ul. Mariensztat 8, 00-302 Warszawa
tel. 0 22 538 92 05, mariensztat@e-horyzont.pl
Plac Konstytucji 5, 00-657 Warszawa
tel. 0 22 628 36 73, mdm@e-horyzont.pl



TANIEWSPINANIE.PL do 5%
www.taniewspinianie.pl
sklep@taniewspinianie.pl
Jakub Jasiński
tel. 0 607 568 590, kuba@taniewspinianie.pl
Bartłomiej Kierpiec
tel. 0 661 916 642, bartek@taniewspinianie.pl
Khumbu S.C.
ul. Gutowa 1, 34-531 Murzasichle
tel. 0 12 294 13 08



Wszystkie zniżki za okazaniem legitymacji
z opłaconymi składkami za bieżący rok.